



Biebrzańskie Żywoty

czyli

*biebrzańskie wspomnienia o tym,
jak dawniej nad Biebrzą życie wyglądało*

Biebrzańskie Żywoty

czyli

*biebrzańskie wspomnienia o tym,
jak dawniej nad Biebrzą życie wyglądało*



Osowiec Twierdza 2013

Wydawca: Biebrzański Park Narodowy

Redakcja: Artur Wiatr

Korekta: Ewa Wiatr, Andrzej Grygoruk

Rozmów wysłuchali i spisali: Artur Wiatr i Mariusz Ramotowski

Skład: Adam Kierzkowski

Zdjęcie na okładce: Pani Stefania Żurawska z Nowego Lipska. Fot. A. Wiatr

Pozostałe zdjęcia:

Zdjęcia rozmówców: A. Grygoruk (Jan Kułak), Z. Konopka (Witold Konopka),
T. Michałowski (Darek Karp), A. Mydliński (Bogdan Pachucki), pozostałe osoby: A. Wiatr;

Zdjęcia we wkładce pochodzą z:

- archiwum Biebrzańskiego Parku Narodowego - wystawa pt. „Biebrza w starej fotografii” przygotowana przez Towarzystwo Biebrzańskie;
- z archiwum Gminnego Ośrodka Kultury w Goniądzu - wystawa pt. „Goniądz w starej fotografii”

Druk: Drukarnia Pro100, Ciołkowskiego 169, Białystok

Nakład: 1000 egz.

Prawa autorskie: Biebrzański Park Narodowy, Osowiec Twierdza 8, 19-110 Goniądz

Wydawnictwo oraz film sfinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Białymstoku

Publikacja/
Produkcja filmu dofinansowana przez
Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Białymstoku



www.wfosigw.bialystok.pl

ISBN 978-83-60774-11-3

1993 – 2013

**XX lat Biebrzańskiego Parku Narodowego
Osowiec Twierdza 2013**

Opinie wyrażane przez rozmówców są ich prywatnymi poglądami i nie muszą odzwierciedlać poglądów Biebrzańskiego Parku Narodowego oraz WFOŚiGW w Białymstoku. Biebrzański PN i WFOŚiGW w Białymstoku nie ponosi odpowiedzialności za opinie wyrażane przez rozmówców niniejszej publikacji.

Spis treści

Wstęp	5
Podziękowanie	7
Tutejsi	9
Marta Ancipow	11
Krystyna Cieśluk	15
Ryszard Czajkowski	21
Stanisława Józwicka	28
Małgorzata Kolendo	32
Zenon Kolendo	35
Witold Konopka	40
Stanisława Kowalczuk	45
Jan Kułak	48
Leopold Nieciecki	51
Kazimierz Ostrowski	58
Władysława Pachucka	62
Eugeniusz Pezowicz	68
Anna i Mateusz Polkowscy	71
Jadwiga Popowska	76
Jan Pożarowski	80
Antoni Rutkowski	85
Stanisław Szeszko	90
Zygmunt Skubich	94
Joanna i Henryk Sosnowscy	97
Antoni Wysocki	103
Jadwiga Zienkiewicz	106
Stefania Żurawska	110
Ich Biebrza	115
Tomasz Kłosowski	117
Mirosław Kobeszko	126
Darek Karp	133
Mapa	140
O autorach filmu	143

Drodzy Czytelnicy!

Dawniej byt ludzi nad Biebrzą spleciony był z rzeką, poddany jej rytmowi, skazany na żywioły. Szczególną relacją człowieka z przyrodą było tradycyjne rolnictwo – ręczne koszenie bagiennych łąk i wypas bydła. Te zajęcia wpłynęły na bogactwo i różnorodność przyrody, przyczyniając się do dzisiejszego wyglądu doliny Biebrzy. Warto skorzystać z tego, że żyje jeszcze wśród nas pokolenie, które nie tylko pamięta biebrzańskie sianokosy i wiele innych prostych, tradycyjnych zajęć, ale w nich uczestniczyło i nadal je kultywuje. Pokolenie, za którego życia tak dużo się wydarzyło. Od braku prądu po telefonię komórkową i internet, od dramatu wojen po trwałą pokój, od kosy i drabiniastego wozu po nowoczesne ciągniki i maszyny. Od głodu po syto zastawiony stół.

Rozmowy ze zwykłymi ludźmi rysują świat miniony: obraz dawnej wsi i przyrody biebrzańskiej. Uzupełniają go relacje osób zafascynowanych Biebrzą. Dlatego wspomnienia te, wraz z filmem, polecamy szczególnie młodzieży. Do najstarszych zaś kierujemy słowa uznania za trud ich pracy i podziękowania za wywiady.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim osobom, które zechciały porozmawiać i podzielić się swoimi wspomnieniami oraz tym osobom, które wystąpiły w filmie. Dziękuję Panu Adamowi Grabowskiemu, dyrektorowi Domu Kultury w Goniądzu, za udostępnienie starych fotografii Goniądza.

Dziękuję Dyrekcji Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Goniądzu za pomoc w realizacji filmu.

Dziękuję Sylwii Dzięgielewskiej, uczennicy Liceum Ogólnokształcącego w Goniądzu za udział w filmie.

Panu Tadeuszowi Trojanowskiemu za udostępnienie muzyki.

Artur Wiatr

Tutejsi





MARTA ANCIPOW

Gabowe Grądy

rok urodzenia 1941

przedstawicielka Wschodniego

Kościoła Staroobrzędowców

Zajęcie: praca w gospodarstwie, śpiew ludowy

Jak wyglądało Pani dzieciństwo, lata młodości?

Dzieciństwo nie było łatwe. Jak byłam malutką to wywieźli nas do Niemiec, byliśmy tam dwa lata. Po powrocie mieszkaliśmy w lepiankach, ale wesoło było, bo byliśmy liczną rodziną: pięciu braci i trzy siostry. W domu się nie przelewało. To, co mama upiekła czy ugotowała, to musiało wystarczyć. Jedzenie jednak było smaczne i zdrowe, a my ro-

śliśmy jak na drożdżach. Kiedy miałam 19 lat, to wyszłam za mąż. Żyliśmy biednie, nie mieliśmy od razu swojego domu. Z czasem narodziły się nam dzieci, mieliśmy trzech synów. Kiedy już odbiliśmy się od dna, to zmarł mąż a potem syn.

Czym Pani się najczęściej zajmowała w gospodarstwie?

Bardzo często pomagałam przy sianiu, wszystko ręcznie się robiło. Kie-

Bawiliśmy się tylko z chłopakami z naszej wsi.

*Na drugą wioskę na zabawę, broń Boże,
nie wolno było chodzić.*

Tym bardziej za cudzego za mąż wyjść



dyś nie było tyle krów co teraz. Ludzie jedną, dwie krowy mieli dla swojej potrzeby. Z mleka masło i śmietanę robili dla siebie. Dużo czasu spędzałam przy machorcie. Wykonywałam wszystko, od sadzenia, motykowania, do wieszania przez całe lato. To była praca ciężka i brudna, a i nie pachnąca. Najpierw to się inspekty zakładało – tak pod koniec marca, pod szkłem machorka szybko wschodziła, później trzeba było pielić. Kiedy podrosła, w maju, już się wysadzało na pole. I od razu zaczynało się motykowanie, podrywanie liści. Kiedy zakwitała, to kwiaty trzeba było obłamać. I tak na całe lato robota była. Potem zaczynało się zrywanie. Najpierw pierwsze listki, później wyżej i wyżej. Kończyło się obrywać

we wrześniu. Wtedy liście na druty trzeba było nadziewać. Tak przygotowaną machorkę suszyło się w łażniach, potem na strychu w stodo-
le czy chałupie, aż do wyschnięcia. Suchą przynosiło się do chałupy. Zdejmowało się z tych drutów i sortowało. Lepsza, to pierwsza klasa, gorsza – druga. Przebraną machorkę ciukowało się (układało – red.) w bele i furmankami do Augustowa się woziło.

A jak pani wspomina zabawę?

Rodzice troskliwie nas pilnowali. Bawiliśmy się w domu i tylko z naszymi chłopakami. Na drugą wioskę na zabawę, broń Boże, nie wolno nam było chodzić. Tym bardziej za nikogo cudzego za mąż wyjść nie wolno było, jedynie tylko



Kiedyś dużo prac wykonywało się ręcznie

Fot. A. Wiatr

za swego tzn. z naszej wioski. Tutaj, w Borze i Gabowych Grądach też fajne zabawy się urządzało. Zazwyczaj odbywały się po domach, przy harmoszcze. Było wesoło.

Czy zdarzało się, że dzikie zwierzęta pod dom podchodziły?

Tak, podchodziły wilki. Rozrywały jałoszki. Łosie, sarenki to i teraz podchodzą.

Czy uważa Pani, że obecne czasy są lepsze od tych dawnych?

Teraz jest dużo lepiej. Wszystko jest i łatwiej żyć. Może tylko te relacje

pomiędzy ludźmi są gorsze. Jeden drugiemu zazdrości. Dawniej tak nie zazdrościli.

Jaką by mogła Pani dać receptę na szczęśliwe życie?

Zgoda z rodziną. U mnie co niedzielę zbiera się cała moja rodzina. I tego życzę wszystkim, aby z rodziną się nie kłócili.

Jakieś Pani miłe wspomnienie?

Bardzo lubię śpiewać. Dlatego od 25 lat śpiewam w zespole Grabina. To bardzo miła przygoda.



W domu się nie przelewało.

To, co mama upiekła czy ugotowała,

to musiało wystarczyć.

Jedzenie jednak było smaczne i zdrowe



KRYSTYNA CIEŚLUK

Lipsk

rok urodzenia 1937

Zajęcie: praca w gospodarstwie,

twórczyni ludowa - pisankarka

Jak wspomina Pani dzieciństwo?

Jestem w Lipsku urodzona. Tutaj na miejscu do szkoły się chodziło. Moi rodzice byli rolnikami. W wojnę część Lipska została spalona. Taki los spotkał moją rodzinę. Po domu zastały tylko zgliszczka. Mieszkaliśmy więc u wielu osób. Ludzie wtedy współczuli, pomagali. Od 1947 roku mieliśmy już swoje mieszkanie. Mamusia trochę tkła kilimy, ręczniki, poszewki na pościel i ja od niej też się nauczyłam tkąć. Tradycyj-

nym zajęciem kobiet było robienie pisanek, haftowanie, robienie koronek.

Czy zechce Pani opowiedzieć więcej o Waszych słynnych pisankach z Lipska?

Pisanki robione były przed Wielkanocą. Jako dziecko już w środę popielcową przychodziłam z kościoła i prosiło się swoją mamę i babcię, aby zasiadały i szybko robiły pisanki. Wtedy nie było prądu, na węglu drzewnym się to ro-



Pisanie pisanki

Fot. A. Wiatr

Tradycyjnym zajęciem kobiet było robienie pisanek, haftowanie, robienie koronek.



biło. Do garnka sypało się popiół, węgle nakładało, w łyżce roztopiało się воск naturalny pszczeli i tym woskiem się pisało. Pierwsze pisanki wykonywane były patyczkiem z gałązki wierzby. Ostrzono go tak jak ołówek, maczano w wosku i tym patyczkiem pisało się te jajka. Teraz mamy szpileczki zrobione na patyczku. Na naszych terenach pisanki były znane od dawna. Nie używamy innych wosków tylko pszczele, gdyż inne odklejają się, nie mają takiej przychepności. My robimy pisanki nie tylko jedno – ale też i wielokolorowe. Jednokolorową pisanekę to wystarczy woskiem pomalować i włożyć do jednej farbki. Jeżeli chcemy mieć pisanekę wielokolorową to musimy mieć dobrą farbkę (jak do barwienia wełny) i musi być octowa. Kiedyś to się malowało w korze olchowej i korze dębowej. Z młodych gałązek grubości 3 – 5 centymetrów zdzierano się

korę. Suszyło się i wtedy wkładało do metalowego garnka, zalewało wrzątkiem. Stało to ok. 4 – 5 dni, nawet do tygodnia. Do tego wkładało się mocno rdzawe żelazo lub wrzucało się zedrę, czyli opiłki takie z kowadła. Po 3 – 4 dniach wyjmowało się tylko korę. Reszta zostawała. Do tego wkładało się jajka na 1 – 2 dni. Następnie wyjmowano je na sito, osuszano. W ten sposób pięknie wybarwione jajko nacierano kawałkiem słoniny, aby błyszczało.

Jakie zna Pani zwyczaje związane z pisanekami?

Na Wielkanoc przychodziły dzieci i im się dawało jajka. Dziecko pukało do drzwi i mówiło, że przyszło po włócznie (upominek – podziękowanie za życzenia wielkanocne - red.). Gospodyni miała wcześniej przygotowane pisaneki, przeważnie barwione w cebulniku, w łuskach cebuli.

Mnóstwo było ludowych obrzędów, bardzo żał, że odeszły w zapomnienie. Dzieci przychodziły do domów, dawało się im jajka, a dzieci mówiły takie wierszyki:

*Jestem mały żaczek
jako robaczek w szkole bywałem
różgi nie widziałem,
różga zielona z drzewa łamiona.
Szły małe dziatki i zrywały kwiatki,
po drodze rzucały, Pana Jezusa witały.
Witam Cię Jezu, prześliczny kwiecie
ja twoje dziecię!
Ręce podnoszę, o włóczęwnę proszę.
Proszę dać, nie żałować,
żeby było za co podziękować.*

A drugie dziecko potrafiło powiedzieć:

*Ciotku, wasza kura czubata na jajka bogata,
naniosta całą donicę, dajcie nam
z połowicę!
Ciotku dajcie par pięć,
a jak dacie więcej, to będę wasz zięć!*
Kiedyś każda kobieta, co żyła w sąsiedztwie, to nazywała się ciotka. Teraz już tego nie ma. I ja tego żałuję bardzo.

Czy młodzież też chodziła?

Owszem, przychodziła, ale bynajmniej, już nie po pisanki. Dzieci wychodziły, a zaraz po nich do domów przychodzili kawalerowie, czasem panny, ale przeważnie kawalerowie. Czasem przychodzili z jakąś harmonijką ustną. Czasami ze skrzypkami. Przychodzili, stukali w okno. Mieli duży koszt i zaczynali śpiewać: „Wesoły nam dzień dziś nastał”. Kawalerka chodziła tam, gdzie panny były. Tam zawsze coś dają. Kiedy prześpiewali, to gospodyni wychodziła i zapraszała do domu. Wtedy oni śpiewali *Konopielki*:

*Dobry wieczór młoda panieneczko,
hej wino wino zieleno,
nam proszę otworzyć swoje okieneczko,
hej wino wino zieleno.
Panna okno otworzyła,
hej wino wino zieleno,
Swoją pięknością nas obdarzyła
hej wino wino zieleno.*

Ta pieśń ma może ma ze dwadzieścia zwrotek. Później zaczynali orację mówić:

A ty matko Ewo, nie wiesz co twej córce trzeba,

*jak ty była taka nie chodziła bylejąka,
pięknie się ubierała aby męża dostała.
A któryś z młodych jeszcze mówił:
A ty Adamie proroku oddaj córkę co
roku*

*jak nie za jednego, to za drugiego
jak nie to za mnie samego.*

Kiedy chłopcy te orację powiedzieli, szybkoćko łapali się za ręce, żeby dziewczęta nie uciekły, okrażali wszystkie dziewczyny, a sami chodzili wokół. Dziewczęta przyglądały się chłopcom. I wtedy chłopcy śpiewali takie *Konopielki*:

*Cienka niewielka w lenku kana-
pielka
hej wino wino zieleno
jeszcze cieńsza niż ładniejsza
hej wino wino zieleno.*



W wojnę część Lipska została spalona.

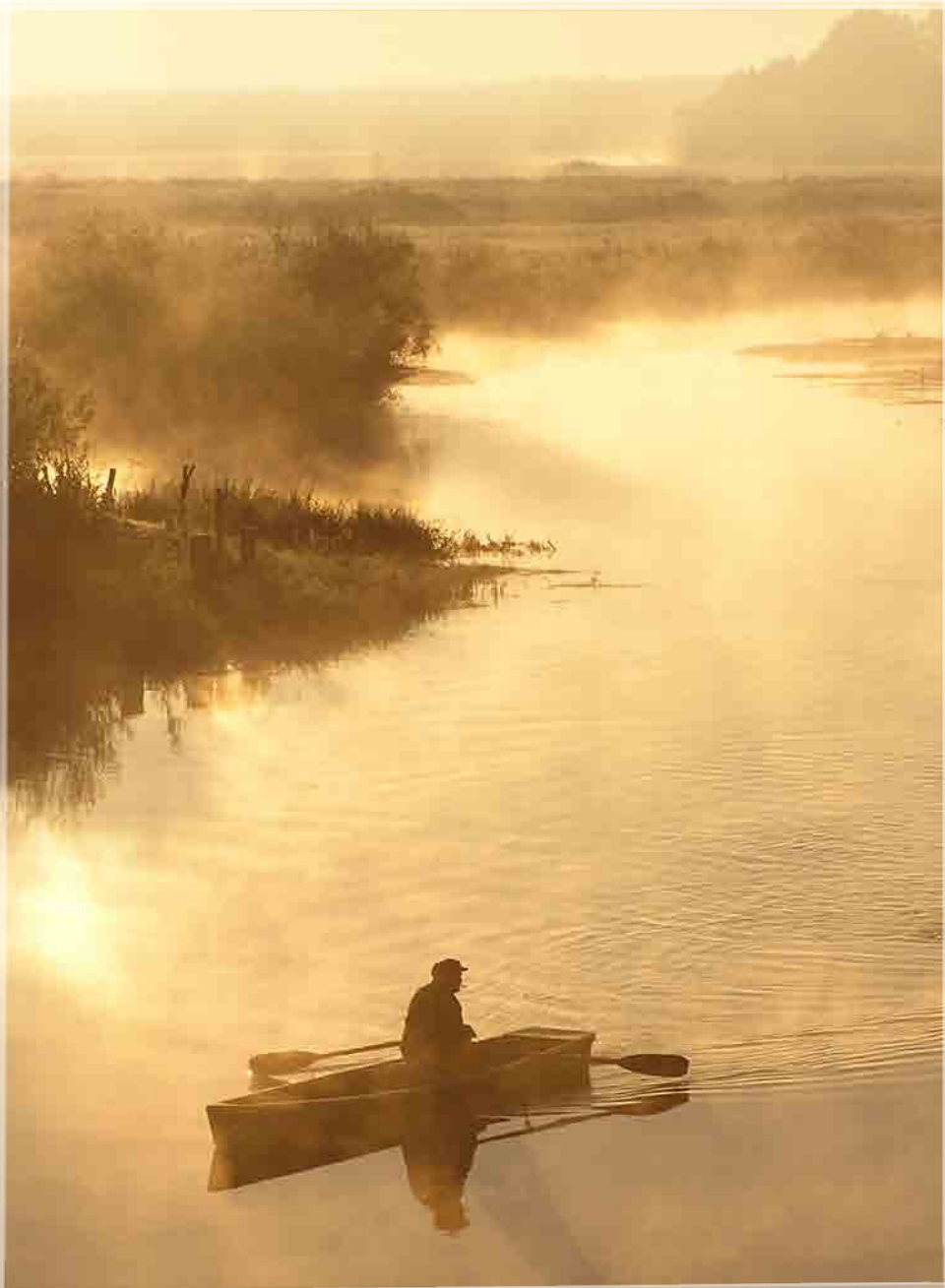
Taki los spotkał moją rodzinę.

Po domu zastały tylko zgliszcza.

Mieszkaliśmy więc u wielu osób.

Ludzie wtedy współczuli, pomagali.

W trakcie chodzenia chłopcy bacznie przypatrywali się, co wisi na ścianach, czy firanka ładnie wycięta na oknie wisi, czy dywan pięknie zrobiony, czy piękne serwety są wszędzie zasłane. Jeśli tak było, to wiedzieli, że w tym domu mieszka przyszła bardzo dobra gospodyni i ona będzie umiała wszystko zrobić. Był to znak, że do takiej dziewczyny warto zaraz przyjechać w swaty.



Na połów

Fot. A. Grygoruk



RYSZARD CZAJKOWSKI

Goniądz

rok urodzenia 1948

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa,
rybak na Biebrzy

Proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

Urodziłem się w Goniądzu, na ulicy Dolistowskiej, na kolonii, w rodzinie rolniczej. Gospodarka była nieduża, ok. 11 ha. Rodzice mieli 4 krowy i konie, dlatego jeździli do Suchowoli na targi końskie. Na Dolistowskiej wszystko wokół było wykoszane. Były pastewniki, krowki, koniki. Czatowałem jak krowy przepływały przez rzekę, bo później tam żerowały ryby i tylko rzucałem wędkę i wyciągałem ryby. Tato zawsze

w niedzielę po kościele na ryby chodził i mnie też zabierał. Z leszczyzny zrobił wędkę, z pióra bocianiego spławik, bo to było najlepsze. Żyłka była sztywno do wędki uwiązana, kołowrotków nie było.

Jak pamięta Pan rybactwo nad Biebrzą?

Zaraz po wojnie tato miał spółkę rybacką. Było ich trzech wspólników: Andrikonis, Olszewski Czesław i Józef Czajkowski, mój ojciec. Mieli zezwolenie państwowe,

to były gdzieś lata 50. Wyjeżdżali konikami. Łódki wozili, tam gdzieś na Olszową Drogę, nieraz po dwóch dniach wracali. Ryby przywozili furą w półkoscach plecionych z wikliny, do Goniądza, do lodowni. Łodzie były drewniane, zrobione z sosnowego drzewa. Tato sam robił łódkę. Nad Biebrzą było także kilku innych rybaków, w samym Goniądzu: Niedźwiedzki, Masłowski, na Dawidowiznie Wojno. Kozłowski na drugiej Dawidowiznie, Szklanko Mietek i Jan, Trzeciak, w Szafrankach ze trzech.

A jak Pan to robił?

Rybaczenie trwało od początku maja do końca grudnia. Jesienią czyściło się wszystkie jeziora, starorzeczka wokół Biebrzy. Ja zacząłem rybaczyć w 1988 r. i rybaczyłem przez cztery może pięć lat. Wojno (kolejny rybak – red.) miał jeszcze zezwolenie na odławianie szczupaka tzw. tarlaka, którego przetrzymywał na żywo. Później przyjeżdżali z PZW z Białegostoku i tego tarlaka do specjalnych zbiorników wpuszczali i pozyskiwali z niego narybek, bo były fundusze na zarybianie Bie-

brzy. Wpuszczano szczupaka i amura, który czyścił Biebrzę. Kiełbi było mnóstwo. Na rybaczenie miałem zezwolenie od PZW i plan ile mam złowić. Rocznie miałem złowić 1500 kg. By ten plan wykonać 2 – 3 razy w tygodniu się wypływało.

Złowione ryby legalnie sprzedawałem, umowę miałem zawartą ze sklepami i spółdzielnią. Na łowy wyruszałem przeważnie około godziny 15., by na noc łowić. Łódka, sieci, namiot. Nocowało się na brzegu, spało się raptem po 3 godziny. Na taki jeden kurs trzeba było mieć 20 litrów paliwa. Zastawiałem pięć, sześć sieci, sam je robiłem. Sieci były różnych rozmiarów. Najmniejsze oczko miało 35mm. Każda sieć miała około 30 metrów długości. Starałem się by jeszcze za dnia sieci ustawić. Sieci najpierw rozstawiałem sam, a później miałem jeszcze pomocnika. Jedną sieć sobie zostawiałem na tzw. nagonkę. Miałem taki drag, taką tykę, z 5 metrów długości, z takim brzęczykiem na końcu i tym się pędziło. Rozstawione sieci stały do 6. rano i już około 9. byłem z powrotem. Złowione ryby do sadza wsadzałem, to był



Puchówki nad Biebrzą

Fot. P. Talała

Kiedys w niewód, na starorzeczu, złapałem suma 38 kg.

*Było to po Bożym Narodzeniu. Na Sylwestra
w goniądzkiej restauracji był serwowany „sum od Ryśka”.*



taki worek w wodzie. Po wyciągnięciu sieci segregowałem ryby: szczupak oddzielnie, później lin itd. Latem przekładałem ryby pokrzywą. Pokrzywa ma zdolności konserwujące i trzyma wilgotność i temperaturę. W środkowej części łodzi był tzw. kolejnik i tam się też rybę trzymało. Były tam powiercone dziury, przez które woda przepływała. Raz pamiętam, wracam z ryb, a mi z tego kolejnika dwa szczupaki wyskoczyły. Boleń to potrafi przeskoczyć przez siatkę. Rybę przywoziłem łodzią do Goniądza i wkładałem do takiej dużej łodziary. Później przewoziłem ją do sklepów, a niektórzy nawet czekali na mnie nad rzeką.

Ryby się na raz przywoziło. Z połowu około 100 kg ryb. Miałem też niewód i jeszcze tym niewodem łowiłem. Ciągnęło się ten niewód z brzegu, musiałem brać jeszcze ze

dwóch ludzi, to była ciężka praca. Pod lodem niewodem też się łowiło. Wtedy potrzebna była taka tyczka, którą się przepychało niewód, od dziury do dziury. Raz, to nawet na tzw. Patelni, ponad pół tony ryb żeśmy złowili. Kiedys w niewód, na starorzeczu za mostem w Goniądzu, złapałem suma 38 kg. Było to po Bożym Narodzeniu. Na Sylwestra w restauracji był serwowany „sum od Ryśka”. Takich 15, 20 – kilogramowych było dużo.

Z rybaczania rozliczałem się miesięcznie do PZW i wiozłem pieniądze i wpłacałem na ich konto. Mój zarobek to nie była cała wartość ryby, którą sprzedawałem. Oddawałem 60% do związku wędkarskiego, 25% dostawałem za pracę i 15% na paliwo, sprzęt. Silnik czasem zawodził, zdarzało się, że nawet wiosłem spod

Mścich musiałem płynąć (pod prąd 22 km – red.).

Najlepsze połowy to zawsze były na początku sezonu, gdzieś w maju. Latem już takie dobre nie były. Jak się łowiło na Biebrzy, to ryba przeważnie uciekała z prądem. A jaż, taka płochliwa ryba, że po napędzaniu trzeba było gdzieś nawet 20 minut czekać, i aż po ogonie gdzieś trącić zanim się ruszyła. Najpłochliwszy jest szczupak i okoń. Jak dobrze się dno zmuli to lina na przykład trudno jest złowić.

Jak zmieniła się Biebrza i okolica?

To była tak czysta rzeka, teraz to jest struga, a nie Biebrza. W rzece były potężne jamy, nawet 10. metrowe, a teraz się wszystko wypłyca. W Biebrzy było strasznie dużo takich piaszczystych zakoli i różnych oczek. Teraz rzeka się zwęża strasznie. Starorzecza to obraz nędzy i rozpaczy, tam latem prawie nie ma życia. Dawniej każde niemalże starorzecze było przeciągnięte na zimę niewodem i wszystko było wyciągnięte na brzeg. A teraz? Z pół metra mułu jest nanoszone, przedtem było twarde dno. Znam te wszystkie starorzecza,

ale to się zmienia. Tato opowiadał, że miał 6 niewodów. Jeden szedł z niewodem, drugi za nim i każdy nałapał. Ryby było więcej. Wszystko to teraz zarosło, kiedyś tego nie było. Inaczej Biebrza wyglądała, nie było tylu bobrów. Podejrzewam, że to wszystko robią bobry, które ten brzeg rozkopują. Coś z tymi bobrami trzeba zrobić. Tam, gdzie były zwisy z drzewa to tam się ryba chowała. PZW i koła miały obowiązek zakładać tarliska w jakimś wypłyeniu i tam się zwoziło gałęzie i ta płoć miała gdzie ikrę położyć. Jak woda szybko schodzi to ryba ucieka w dół rzeki. Trzeba Biebrzę zarybiać. Szczupak nie przyjdzie z góry, on nie jest taki wędrowiec. Leszcz potrafi w ciągu nocy, jak jest przybór wody, to nawet 30 km przepłynąć. Sandacza nie ma w ogóle, a było mnóstwo sandaczy. Prawdopodobnie teraz sum się pojawił. Dawniej to do sumów kuszami strzelali.

Okolice też się zmienia. Kiedyś całe łąki były wykoszone kosami, nawet dwa pokosy się kosiło, a stogi stały aż pod las. Nie było żadnego nawożenia. Siano tak pachniało. Kopy na nosidłach się nosiło do stogu. Tam



Niezawodny środek lokomocji

Fot. P. Tałaj

gdzie się dało to sznurkiem się obwiązywało te kopy i koniem na nosidlach się ciągało. Zimą saniami się je zwoziło do gospodarstwa.

Ja w zimę to rzeką na łyżwach jeździłem aż na „Bochenkową” (kąpielisko w Goniądzu – red.). Łyżwy były do butów przykręcane.

Czy miał Pan jakąś niebezpieczną przygodę?

Na rzece zawsze kłusownictwo było, raz trzy sieci mi ukradli kłusownicy. Innym razem pod Szafrankami siatki mi ukradli. Ale to kajakarze, i razem z policjantem żeśmy odzyskali te siatki. Niebezpiecznych przygód nie miałem. Kiedyś na Rzekówku sarenkę uratowałem, bo zaczęła tonąć.

Jak Panu się widzą dzisiejsze czasy?

Żyje się teraz bez porównania lepiej, wszystko jest dostępne. Trudniej jest zarobić trochę pieniędzy. Kiedyś ludzie mieli więcej czasu, więcej spotkań było. Kiedyś cała uli-

ca się schodziła i rozmawiali. Dopiero jak byłem w 9 klasie to dopiero prąd dali, a wcześniej przy lampie się uczyłem.

Czy złowione przez siebie ryby umie i lubi Pan przyrządzić?

Całe życie ryby jadłem. Sam potrafię zrobić lina w śmietanie, szczupaka sfaszerować, uche też się robiło, najlepsza z okoni i karasi. Wędziłem leszcze, suma też próbowałem, ale mi się rozpułnął. Każda ryba zimą jest najsmaczniejsza, bo woda w Biebrzy jest inna, jest zimniejsza. Aby ryba była dobra, trzeba ją co najmniej dobę w cebuli marynować, bo cebula ma takie właściwości, że te wszystkie zapachy wyciąga.

Czy zdecydowałby się Pan raz jeszcze na rybaczenie?

Niewód jeszcze pozostał. Zdecydowałbym się ponownie na rybaczenie, tylko teraz mniej jest ryby.



STANISŁAWA JÓŻWICKA

Goniądz

rok urodzenia 1923

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa

Jak Pani wspomina czasy swojej młodości?

Młodość była bardzo trudna. W czasie wojny tutaj był front, wywieźli moją rodzinę w okolice Jasionówki. W tamtych stronach poznałam się z moim przyszłym mężem, Kiedy w 1941r. nastali Niemcy, zaczęły się wywózki do Rzeszy na roboty. Sołtys wyznaczył mnie i moją siostrę, to była straszna wiadomość. Postanowiłyśmy, że zrobimy wszystko, by nie wyjechać. Pomogła nam, choć częściowo tylko, koleżanka pracująca przy kwalifikowaniu wyzna-

czonych do wyjazdu. Trafiliśmy do obozu przejściowego w Białymstoku.. Na dużym, ogrodzonym siatką i drutami placu było mnóstwo ludzi. Moją siostrę wyciągnęła stamtąd ta koleżanka, ale ja zostałam. Ostatniego dnia przed wywózką przyjechali rodzice z siostrą, by się pożegnać. Pamiętam jak dziś, że miałam czarne palto z białym kołnierzem. Wzdłuż ogrodzenia chodził Niemiec z karabinem. Ktoś jednak cudem chyba zrobił dziurę w siatce. Siostra krzyknęła: „Uciekaj, uciekaj!” Cała drżałam ze strachu, miałam

*Wieś była bardzo biedna.
Po wsi chodzili „jałmużni”
i każdy ich przyjmował,
dzielił się tym, czym mógł.*



wtedy 19 lat. W imię Ojca i Syna. I przeskoczyłam przez tę dziurę. Z emocji potem zemdlałam. Od tego czasu ukrywałam się najpierw w Białymstoku, później na Dawidowiznie. Jak znów przyszło się stać do wywózki, to siostra napchała mi poduszek pod sukienkę i zrobiła mnie na ciężarną. Jakoś się udało. Mogłam wyjść z ukrycia. Ożeniłam się. Mąż był majstrem, dobrze sobie radził. W Goniądzu się wybudowaliśmy i żyjemy do dziś.

***Jak Pani zapamiętała dawną
Dawidowiznę czy Goniądz?***

Było zupełnie inaczej jak dziś. Wieś była bardzo biedna. Po wsi chodzili „jałmużni” i każdy ich przyjmował, dzielił się tym, czym mógł. Domy były drewniane. Ludzie chodzili do bogatszych praco-

wać. Było dużo rybaków: Szklan-ko, Trzeciak, Kozioł. Wieś była bardzo zgodna. Sąsiedzi byli dobrzy, jedni drugim pomagali.

Jak pamięta Pani rzekę?

Pamiętam jak tratwy ciągnęły przez Biebrzę. Jak było wesoło, oryle zawsze śpiewali. Jak tylko mieliśmy okazję, a tratwy płynęły, to szliśmy nad rzekę. Oryle prosili nas na tratwy, kawałeczek przewozili, coś fajnego. Rzeka była bardzo czysta, bo spławy szły a i rybacy czyścili.

Pranie robiło się w baliach i tarami. Do rzeki żeśmy chodzili tylko płukać. Wodę do prania to brałam ze strumyka, bo w studni woda miała bardzo dużo kamienia.

A jak wyglądały zabawy?

Zabawy były, ale my byliśmy młodzi i nas rodzice nie puszczali, czasem zabrali ze sobą. Po ożenku robili mężem chodziliśmy na zabawy w szkole czy w klubie. Bawiliśmy się ładnie i bardzo to miło wspominać. Ludzie byli prości, ale kulturalni.

Czym się Pani na co dzień zajmowała?

Machorkę sadziłam, warzywo. Machorkę żeśmy wozili do Doli-stowa na skup. Kopaliśmy też torf. Za rzeką mieliśmy 2 hektary łąk i tam się kopało. Docierało się promem przez rzekę, a później pie-

szo trzeba było iść. To była ciężka praca. Torf trzeba było wydobywać, suszyć, przekładać. Kopało się w maju, żeby torf zdążył wyschnąć. Zimą bardzo dobrze torf się palił w piecu. Nie było łatwo, ale człowiek młody był. Do północy często się gadało, a o 3 godzinie trzeba wstać, bydło do pastucha wygnać, bo jak się nie zdążyło to potem człowiek sam musiał pod Klewiankę gnać.

Kiedy żyło się lepiej – dawniej czy obecnie?

Nie ma porównania. Teraz żyje się dużo lepiej.



(...) Niemiec chodził z karabinem.

Ktoś jednak zrobił dziurę w siatce.

(...) Siostra krzyczy: „uciekaj, uciekaj!”

Cała drżałam ze strachu, miałam wtedy 19 lat.

*W imię Ojca i Syna (...) i przeskoczyłam
przez tę dziurę.*



Drewno było podstawowym budulcem

Fot. P. Talałaj



MAŁGORZATA KOŁENDO

Dolistowo Stare

rok urodzenia 1960

Zajęcie: praca w gospodarstwie,
wypiek chleba

Od kiedy wypieka Pani chleb?

Chleb piekę już około dwudziestu lat. Już trochę praktyki w tym fachu mam. To ciężka praca, pracochłonne zajęcie. Jak przypominę sobie początki to różnie bywało. Nie zawsze wychodziło, chleb nie zawsze był taki dobry. Chleb wypiekam przeważnie raz na tydzień. Ale w sezonie, jak mam dużo gości, to i trzy razy w tygodniu potrafię upiec. Ten chleb długo trzyma swoją świeżość. Nie zawiera żadnych kon-

serwantów. Kiedyś to każda gospodyni piekła i jakoś ludzie się do tego garnęli, żeby w domu był swój chleb. Teraz to wyjątek. Mało która gospodyni piecze. Takie czasy, każdy ma mało czasu i łatwiej kupić. Ja sobie nie wyobrażam świąt, żeby nie było swojskiego chleba na stole. Jestem w dobrej sytuacji. Młyn za płotem, mam swoją mąkę. Wstyd byłoby chleba nie piec.

Młyn za płotem, mam swoją mąkę.

Wstyd byłoby chleba nie piec.

(...) Dla mnie to chleb jest świętość.



***Czy ludzie teraz doceniają smak
takiego chleba?***

Myślę, że tak. Turyści bardzo chętnie ten chleb kupują, nasi goście ze smakiem go jedzą. Teraz nie wyobrażam sobie żebym kupowała chleb w sklepie. Owszem, zdarzają się wyjątki, że czasami dokupujemy w sklepie. Zdarza się to rzadko.

***Czy ludzie podchodzą teraz do
chleba z większym szacunkiem niż
kiedyś?***

Za czasów mojej młodości pamiętam, chleb naprawdę się szanowało. Każda kromeczka była doceniona. Teraz chleba się nie docenia. Dużo chleba się marnuje, wyrzuca. Dla mnie to chleb jest świętość.



W młynie

Fot. A. Wiatr



ZENON KOLENDO

Dolistowo

rok urodzenia 1931

Zajęcie: młynarz

Jak wyglądało Pana dzieciństwo?

Moje dzieciństwo nie było najgorsze, bo ojciec miał młyn. Do szkoły chodziło się na piechotę. W 1939 r., tu 17 września wkroczyli Sowietci i w czerwcu 1941 r. wywieźli nas na Sybir. Ojciec wtedy siedział w Łomży w więzieniu, Sowieci zabrali go po rewizji młyna. Pamiętam, że przyszło po nas trzech z NKWD. Stało się to bardzo wczesnym rankiem, jeszcze było ciemno. Ja miałem wtedy 10 lat, rosyjski już znałem, bo już dwa lata się uczyłem, więc rozumiałem co mówią. Na ze-

śłaniu był głód i ubóstwo. Ja byłem tokarzem. Trzy i pół roku pracowałem jako tokarz. Starałem się dobrze pracować. Nawet kilka razy zrobiłem normę Aleksieja Stachanowa, to był przodownik pracy w Związku Radzieckim. I wtedy w nagrodę dostawałem pół litra mleka odwirowanego i dwie łyżki kartofli smażonych na oleju. To była cała nagroda, premia. Byłem sądzony tam, w Rosji. Każdy powód był dobry. Mnie sądzono za porzucenie pracy, mimo że bardzo ciężko pracowałem. Na zmianie dwanaście godzin w dzień,

Młyn wstrzymywaliśmy rano w niedzielę przed mszą. Ale już wieczorem był uruchamiany, bo ludzie nie dali odpocząć i czekali.



a kolejnego tygodnia dwanaście godzin w nocy. Wróciłem stamtąd mając 15 lat, w 1946 r.

Od jak dawna młyn jest w waszym posiadaniu i jak wyglądała praca przy młynie?

Za ten młyn to mnie zeszli na Sybir. a ojciec siedział w więzieniu. Młyn zbudowano w 1870 roku dla żyda z Suchowoli. On zajmował się tą pracą tylko kilka lat. Jemu to się podobało, ale jego żona lubiła bardziej handelek. Mieli takie powiedzenie: „Lepszy mały handelek, niż duży szpadelek”. No i namówiła męża na sprzedaż młyna. Mój dziadek wrócił wtedy z Ameryki. Był tam kupę lat, miał już obywatelstwo. Był tam nawet szeryfem. I jak wrócił, to kupił ten młyn od tego Żyda. Zapłacił za

młyn ogromną sumę pieniędzy. Dziś młyn w naszym posiadaniu jest już czwarte pokolenie. Młyn na początku miał dla Twierdzy w Osowcu, to był obowiązek. To był jedyny młyn w okolicy, który miał trzy kamienie o promieniu 125 cm, a ten wiatrak ciągnął to wszystko. Tylko tutaj żadnych drzew nie było, żadnych krzaków i on był bardzo czuły na wiatr. Miał skrzydła wysoko zamocowane i długie prawie aż do ziemi. To młyn pszenno – żytni. Dobrze był zbudowany: miał mechanizm nawrotowy, który można było przedstawiać liną.

W wojnę Niemcy nie spalili młyna, bo chcieli mieć dobry punkt obserwacyjny. Po wojnie do młyna przyjeżdżało dużo ludzi z całej okolicy: od Nowego Dworu, od Lipska, od Grajewa. Młyn

wstrzymywaliśmy rano w niedzielę przed mszą. Ale już w niedzielę wieczorem był uruchamiany, bo ludzie nie dali odpocząć i czekali. Młyn tj. konstrukcja z trudem wytrzymywała ciężar zboża – na piętrze wszędzie były wory ze zbożem. Sama praca nie była aż tak bardzo ciężka. U nas nie trzeba było workiem nosić, były podnośniki. W młynie była także siewczkarnia do cięcia słomy. I kto jechał do młyna, to wioził też ze sobą słomę.

Przed wojną dobrze nam się powodziło, bo przemiał był drogi. Za przemienienie metra (100 kg – red.) zboża na śrutę płacono złoty. Zaś za mielenie na walcu 3 zł. Ale czasy po wojnie były trudne. Z każdego metra zmielonej mąki trzeba było wziąć 27 kg odsypu od gospodarza. Po dziadku młyn przejął mój ojciec, potem ja, a teraz syn ze mną prowadzi. Teraz to bardzo mało się miele. Dzisiaj się nie opłaca prowadzić młyna. Nieraz z Białegostoku przyjeżdżają mąki kupić, bo w mieście chyba teraz kobiety częściej pieką chleb jak na wsi.

Jak się zmieniła się Biebrza i otaczająca przyroda?

Biebrza była cudowna. Rzeka była czyściutka, w ogóle nie zarastała, nie było nawozów. Raków była masa. Brzegi wszędzie były czyste, jak na plaży. Dziś tak zarastane, że dojść nie można. Kiedyś jak chłop kosił, to kosił całą łąkę i jeszcze to co było w wodzie. Dzisiaj maszyną nie podjeżdżie bo bobry wszędzie narobiły dziur. I z 10 metrów od rzeki nie kosi, zostawia. Dawniej Biebrzą były spławry drzewa. Tu z Dolistowa nawet jeden chodził na oryłkę tzn. był flisakiem. Drewno pławili Biebrzą do Narwi, a później dalej. Trzeba było umiejętnie taką barkę prowadzić, bo taka tafla drzewa, gdzieś na zakręcie mogła się zablokować. Nad rzeką i wokoło było bardzo mokro, początkowo nie było żadnej melioracji. Później jak ludzie zaczęli kopać torf, to trochę to się osuszyło. Cała tutaj gmina kopała: Jaświły, Mikićcin, Romejki, te wszystkie wioski kopały u nas. A stogów z sianem ile w dolinie stało. Bardzo dużo, jak grzybów po deszczu.

***A czy zwierzyny, ptaków było
więcej jak obecnie?***

Było masę ptaków. Saren było tyle, że aż na podwórko przychodziły. Ja byłem myśliwym ponad dwadzieścia lat. Na tym terenie byłem strażnikiem, myśliwym i gospodarzem terenu. Jak przyjechał myśliwy na polowanie, to musiał przyjść do mnie, wpisać się, powiedzieć gdzie będzie polował, od której do której godziny. Mimo, że długo byłem myśliwym to wspomnień mam niewiele, bo ja nie lubiłem zabijać.

***Gdyby miał Pan porównać czasy
minione i obecne to jak się Panu wy-
daje kiedy żyło się lepiej?***

Na wsi naprawdę było wesoło. Ludzie na ławkach przesiadywali, było wesoło do północy. Zabawy ciekawe

były. Ludzie śpiewali, harmonia grała i skrzypce. Dawniej ludzie lepiej ze sobą żyli niż teraz. W tych czasach, to nawet sąsiadka do sąsiadki nie pójdzie. Dzisiaj naród jest taki bardziej samolubny. Dzisiaj życie jest wygodniejsze. Każdy ma centralne ogrzewanie, wodę, łazienkę. Tylko pieniędzy mało. Za świniaka nie kupisz teraz tony węgla, a przedtem za świniaka były trzy tony.

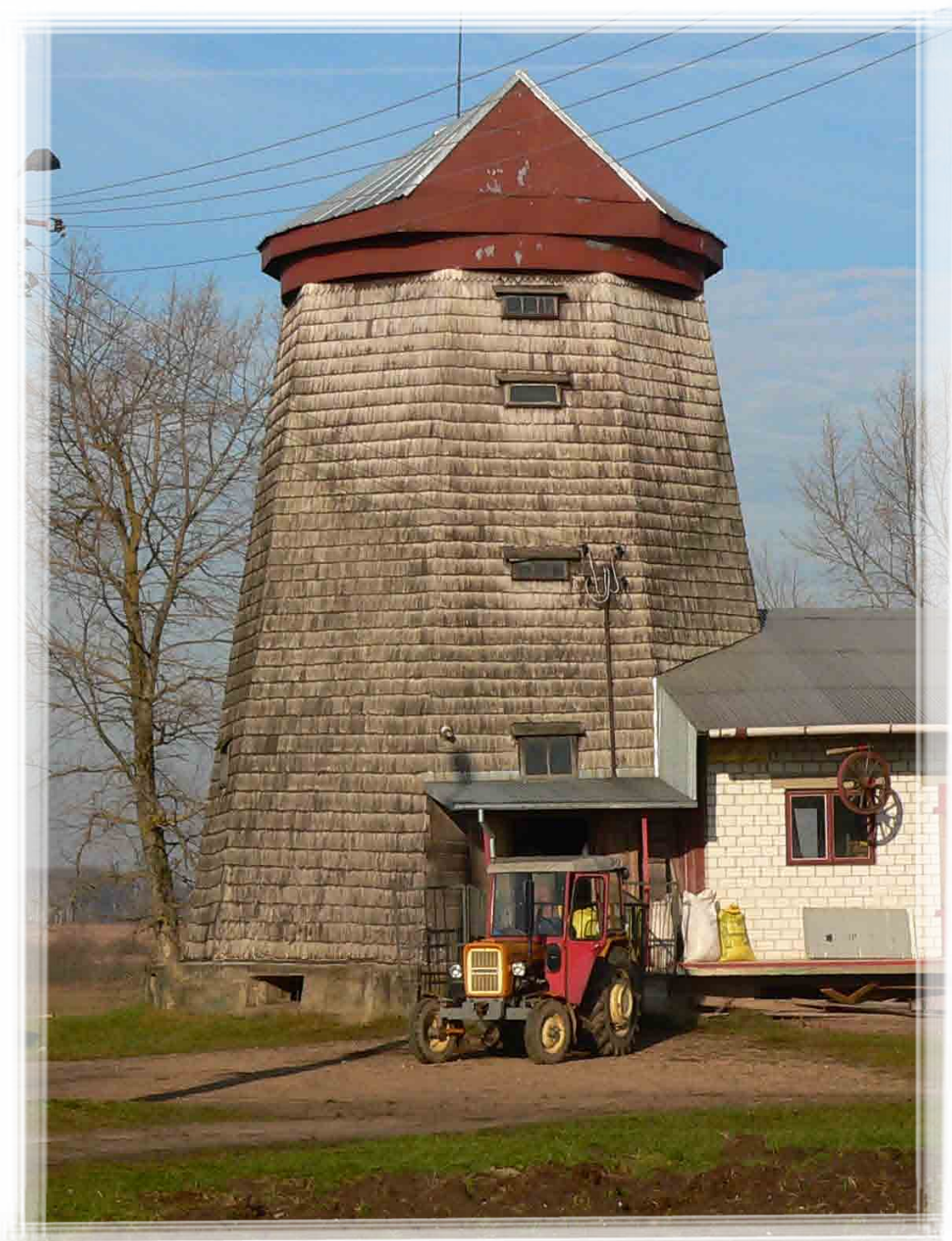
***Jakiej udzieliłby Pan recepty na
szczęśliwe życie?***

Na to chyba nikt nie da recepty. Nie ma na to recepty. Ja, gdybym raz jeszcze miał życie przeżyć, to nie zmieniłbym nic za wyjątkiem jednego – zsyłki na Sybir. Tej geheny nie chciałbym raz jeszcze przechodzić.



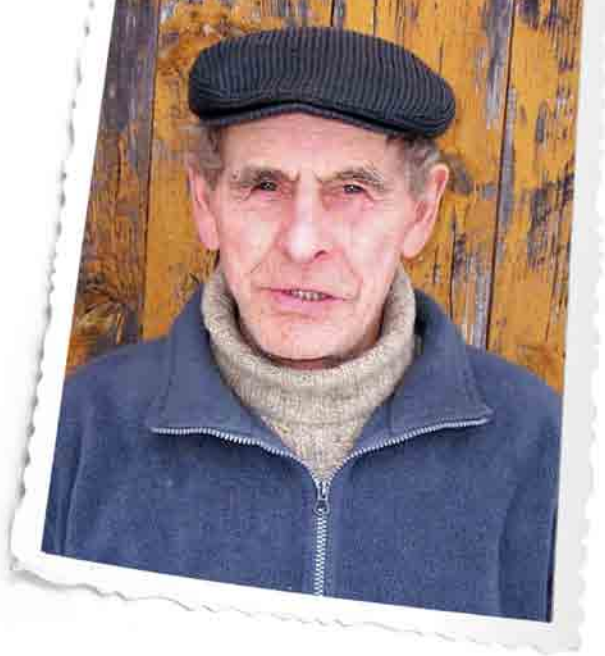
Na zestaniu tylko głód i ubóstwo.

*Cieężko pracowałem. (...) Wyjątkowo w nagrodę
dostawałem pół litra mleka odwirowanego
i dwie łyżki kartofli smażonych na oleju.*



Młyn rodziny Kolendo

Fot. A. Wiatr



WITOLD KONOPKA

Brzostowo

rok urodzenia 1937

Zajęcie: rolnik

Jak wyglądało Pana dzieciństwo?

Dzieciństwo naznaczyła wojna. Pamiętam, pierwszy raz jak Niemcy przyjechali to obok wierzby wbili taki pal na czerwono pomalowany. Miał to niby być znak do przeprawy. Później przyjechali pod koniec sierpnia i całą wieś spalili. Murowane chlewy wysadzali. A my do lasu uciekliśmy. Potem zatrzymaliśmy się w Konopkach. Pomagał nam pewien gospodarz. Do jedzenia dawał nam mięso z krowy. Ale to mięso chował przed Niemcami pod oborni-

kiem i strasznie śmierdziało. Resztę wojny spędziliśmy w Karwowie. Po powrocie do Brzostowa wszystko zastaliśmy zniszczone. Postawiono taką budę i w niej się mieszkało. Mieliśmy jedną krowę i dwa konie. Jak nastąpiła zima, to wyrobiło się drzewo na dom i chlewek taki dla koni. I tak pomału stawiało się na nogi.

Jak wyglądali sianokosy?

Cała wioska szła kosić. Kto ile sił miał, to kosił. Wszystko ręcznie. Był taki jeden kosiarz, który za-

*Całą zimę po drewno się jeździło. Pamiętam jeszcze jak
piłami „moja – twoja” się ścinało.*



czynął kosić w czerwcu, a kończył we wrześniu. I tak niemalże codziennie. Dawniej wszędzie było koszone. Nawet jak polana w lesie była, to też się kosiło. Te łąki za rzeką były kiedyś dworskie. Potem podzielono je na części, przeważnie po dziesięć pokosów, aż do samego grądu. Potem odbywała się sprzedaż, nad którą czuwał nadzorca. Każdy kupował, a za taką łąkę trzeba było dobrą krowę zapłacić. I wszystkie te łąki były koszone. Po skoszeniu pasło się tam za rzeką krowy. Każdy miał po pięć, sześć krów.

Jak się zmieniła Biebrza?

Kiedyś jeziora (starorzecza – red.) były czyste, a teraz zielsko wszędzie. Kiedyś byli rybacy i o rzekę bardziej dbali. Jeden rybak był w Plutach, i w Łojach też był. Rybę sprzedawali do Łomży. Jak chcieli rybę niewodem łapać, to najpierw

zielsko trzeba było wykosić. Rzeką wylewała tak jak zwykle i teraz wylewa. Pychówki każdy miał, bo był stolarz, który robił.

A Brzostowo mocno się zmieniło?

Przed wojną było czterdzieści domów, a teraz jest połowa.

A zabawy jak wyglądały?

Jeździło się po wioskach, ale nie było świetlic żadnych. Jak nie w Plutach, to w Chylinach. Po domach się bawiło. Muzykanci grali na harmoszcze i bębnie. Czasem samogonkę się gnało. Panien było zazwyczaj więcej niż chłopców. Bójek też było sporo.

A jak zmieniła się przyroda?

To mnie trudno ocenić. Kiedyś były wszystkie ptaki, teraz nie. Dzikie, wilki, łosie, to tak samo było. Łosie już nie przychodzą, dzikie też, to przez te ratraki, wy-

...jak zaczynał kosić w czerwcu, kończył we wrześniu.

I tak codziennie. Dawniej wszędzie było koszone.

Nawet jak polana w lesie była, to też się kosiło.



straszyły je. Dawniej za rzeką pasło się 60 koni. Ile pieczarek rośło, bardzo dobre były. Teraz wcale. Każdy kiedyś miał po dwie kobyły i kiziaki (żrebaki – red.). U nas było zawsze pięć, sześć koni. Dzisiaj? Teraz wszystko się zatruwa. Kaczeńców nie ma. Tataraku też było sporo, nawet się sprzedawało. Rwało się i mokry się sprzedawało.

A polowania były?

Były. Cały ten obszar to rejon z Warszawy był. Tutaj polowali aż do samej szosy, polowali na wszystko. To ci myśliwi co mieli na Gugnach chatę.

Jak Pan myśli, które czasy były lepsze, te dawne czy obecne?

Dawne. Kiedyś to robiłeś i coś z tej pracy miałeś. Teraz robisz i nie masz nic. Kiedyś w Brzostowie 20

chłopców było, a dziewczyn jeszcze więcej. Wszyscy zgodnie żyli. A dzisiaj? Jeden drugiego by zjadł. Dawniej jak przyszło lato to przy tej studni we wsi prawie wszyscy się gromadzili. I jeden z drugim miał o czym rozmawiać. Cała wieś była kiedyś zgrana, jeden drugiemu pomagał. A teraz? Nic!

Dopóki ta komuna była, to chłopom było dobrze. Teraz źle rządzą i wszystko.

Co się uprawiało na polach, czy podobnie jak dziś?

Kiedyś nawet jak groch posiał to i pieniędzy było. Konopie, len, tabakę każdy sadził bo zarobek był. Len był potrzebny dla siebie. Portki, koszule, prześcieradła, to wszystko lniane było i samemu się robiło. Najpierw len posiać trzeba było, oplewić, na jesieni wyrwać. Zerwany kładło się, jak wysechł, to



Konie w Brzostowie

Fot. A. Wiatr

się młóciło. Po młócce len zbierało się w takie pęczki i w rzece moczyło. Po wyjęciu z rzeki len w taki kociołek się układało, znów się suszył. Jesienią len na mędlicy się gniołło, by rozbić włókna lnu. Potem całość na piecu się suszyło. Wreszcie na cierlicy się znowu go gniołło i wyczesywano na szczotce. Szczotka była długa i z jednej strony była gęściejsza. Na szczotce len oddzielał się od gorszych włókien – pakuł. Z tych pakuł przędło się worki. A ten dobry len, to go znowu przędli cienko i robili z niego koszule, portki i wiele innych rzeczy. Roboty było przy tym dużo.

A kiedy po drewno jeździliście?

Całą zimę po drewno się jeździło. Pamiętam jeszcze jak piłami „moja – twoja” się ścinało. Tam, gdzie gajowy był, to ten las był tak wyczyszczony, tryby pocięte, bo ci ludzie nie mieli co palić i każdy chodził i tą

krzewinę wycinał. W metry układali przy trybie, później tego leśniczego przywieźli i on każdemu odebrał i zimą się woziło. I było to wszystko wyczyszczone. Na budowę po wojnie brało się dębinę z grądzików na podwaliny. Resztę z sosny się robiło, ona rosła za szosą carską.

Czy zgodziłby się Pan wyprowadzić stąd?

Nigdy w życiu bym nie poszedł. Do Łomży, do Białegostoku pojadę, pół dnia posiedzę i do domu. Starego drzewa się nie przesadza.

A flisaków Pan pamięta?

Pewnie. Czasem tak płynęli, że krowy nie mogły przejść. W Brzostowie się nie zatrzymywali.

A jakąś receptę na szczęśliwe życie?

Na to nie ma recepty. Każdy sam musi znaleźć swoją.



Dawniej za rzeką pasto się 60 koni.

A ile pieczarek rośło, bardzo dobre były.



STANISŁAWA KOWALCZUK

Krzecze

rok urodzenia 1933

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa, tkanie

Czym się Pani zajmowała?

Zajmowałam się pracą na gospodarstwie razem z rodzicami. Siostra była w Niemczech, jak wróciła to jeszcze siedem lat żyła i umarła, była wycieńczona. Ja jedna byłam i razem z mamą żeśmy tkwały kilimy, od mamy się nauczyłam tkać. Żeśmy farbowali i tkali. Nicie się snowało i się tkało. Wzory mieliśmy własne. Kilimy żeśmy sprzedawaliśmy ludzie do nas przynosili, żeśmy snowali i tkali. Z mamą tkałam, później mama umarła i ja jedna tkałam. Później

żeśmy machorkę sadzili. Ciężka to była praca. Najpierw żeśmy sadzili, pielili, później łamali i obrywali liście a na końcu siłąli (wiązali – red.). Suszyło się w suszarni i na płotach. Machorkę woziliśmy na skup do Dolistowa.

A jak Pani wspomina zabawy?

Zabawy były w Krzeczach. Mieliśmy takiego muzykanta ze Smogorówki. Przywiozł go chłopcy i kwaterę jako taką znajdą i tańczym całą noc. Wódki się nie piło. Chłopcy to mieli tej samogonki,

*Razem z mamą żeśmy tkwały kilimy, farbowały nicie
i tkwały. Nicie się snowało i się tkąło.*

Wzory mieliśmy własne.



ale to niewiele. Było fajnie na tych zabawach.

*A proszę powiedzieć, jak ta przyroda
kiedyś wyglądała?*

Jak człowiek młody był to szedł do roboty i nie zwracał na to uwagi.

A żniwa, sianokosy jak wyglądały?

Żniwa były fajne, tato pójdzie kosić, a ja za nim podbierać i paski robić. Mama trochę wiązała, później ja wiązała, wszystko ręcznie. Później już mąż przyszedł to już lżej było. Szwagier jego w kółku (rolniczym - red.) pracował, to

maszyną nam ziemniaki wyorywał. A przy sianie wszystko rękami kiedyś było, grabi, kosy.

*A jak Pani postrzega dzisiejsze
czasy?*

Teraz ludzie gorzej ze sobą żyją. Dawniej nie było tych złości, ot tak żyli normalnie i po prostu: co mieli tym się cieszyli. A teraz nie wiadomo co. Teraz co innego. Ale żyć łatwiej i lżej, dzisiaj człowiek siedzi bez roboty, bez niczego, co innego jak kiedyś. Kiedyś ciężiej pracowali.



Zwózka siana

Fot. GiT. Kłosowscy (arch. BbPN)



JAN KUŁAK

Hamulka

rok urodzenia 1957

Zajęcie: praca w gospodarstwie, wypiek sękacza

Czym się Pan zajmuje?

Urodziłem się i wychowałem tutaj, w Hamulce. Początkowo nie dostrzegałem tej całej przyrody wokół nas. Było tak do momentu utworzenia tu Biebrzańskiego Parku Narodowego. Wtedy powstał taki pomysł, aby się ze swoją działalnością, z tym co tu robimy, co tu tworzymy, jakoś wkomponować w nową rzeczywistość. Kiedy utworzono park narodowy liczyłem się też z pewnymi ograniczeniami w prowadzeniu gospodarki. Dlatego wymyśliliśmy agroturystykę. Dodatkowo prowadzimy go-

spodarstwo ekologiczne. Oba tematy połączone razem dobrze się komponują i dają nam nowe możliwości. Siła ekologii działa na odwiedzających dolinę Biebrzy, a nasze produkty są naprawdę „pierwsza klasa”.

A czy Pan sam dostrzega te walory przyrody, czy ważna jest bliskość przyrody?

Początkowo tego nie dostrzegałem, ale myślę że to przychodzi z wiekiem. Człowiek wraca do tego co jest blisko związane z naturą. Naprawdę to jest fajne. Cieszy mnie to, że dostrzegają



Tradycyjny wypiek sękacza

Fot. A. Wiatr

*Człowiek wraca do tego co jest blisko
związane z naturą.*



to goście i możemy nawzajem się tutaj jakoś uzupełniać.

A czy ta okolica zmieniła się za Pana życia?

Pamiętam Biebrzę z wcześniejszych lat. Kosiło się kosą, zgrabiało się grabiami siano. A i teraz celowo rezygnujemy nieraz z unowocześniania gospodarstwa, by było ekologiczne. Nie ingerujemy teraz tak mocno w przyrodę, staramy się zachować jej naturalne walory i pokazać innym, że można tak współistnieć.

Czy wyobraża Pan sobie teraz życie gdzieś indziej?

Nie. Teraz absolutnie nie. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić życia poza Biebrzą. Poza tym, to przychodzi z wiekiem, że człowiek zaczyna doceniać ten spokój wokół, przyrodę. Wraca do tego, co jest blisko związane z naturą.

Co proponujecie turystom w Waszym gospodarstwie?

Odwiedzającym proponujemy niewątpliwą atrakcję kulinarną, jaką jest sękacz. Nie tylko go serwujemy, ale organizujemy pokazy wypieku. Sę-

kacz, który tu wypiekamy wytwarzany jest tradycyjnym sposobem, według starej, lokalnej receptury, z naturalnych składników. Wypiekamy go na ogniu, nie zmieniamy nic. To jest właśnie podstawą naszego sukcesu. Nowoczesność nie wchodzi w grę. Sękacz wymyślono dawno temu i nie ma wcale potrzeby tego zmieniania. Wymyślono go wcale nie z potrzeby dekoracji stołów biesiadnych. Raczej z potrzeby konserwacji produktów. Latem więcej było w obejściu jajek i produktów z mleka. One stały się składnikami sękacza. Sękacz może być z powodzeniem przechowywany co najmniej przez pół roku, do zimy. W naszym regionie od dawna sękacz swoim urokiem zawładnął stoły biesiadne, i tak jest do dzisiejszego dnia. Żadne wesele, żadna uroczystość bez tego ciasta się nie odbywa.

To trochę tak jak by u Was w Hamulce czas się zatrzymał?

Czas się nie zatrzymał. Tylko trochę inaczej jest postrzegany. Biegnie normalnie tylko my zachowujemy tę swoją tradycję, to co jeszcze możemy pokazać i przekazać ludziom.



LEOPOLD NIECIECKI

Olszowa Droga

rok urodzenia 1931

Zajęcie: rolnik, opiekun lasów prywatnych

tzw. działów na Olszowej Drodze

Jak wspomina Pan dzieciństwo?

Dzieciaków była cała masa na Olszowej Drodze. Nie to, co teraz. Do szkoły pieszo do Wilamówki chodziliśmy. Pamiętam raz ojciec do Goniądza wozem mnie zabrał. Dawniej to w Goniądzu duże rynki bywały. Wjechaliśmy do miasta, a tam z każdej strony Żydzi, ci którzy sklepy mieli, podchodzą i pytają: a czy nie ma tego, tamtego do sprzedania? Do sklepu jak się weszło, to Żyd siedem razy zawracał i obniżał cenę. Tak umieli handlować. Średnio raz na tydzień

ojciec jechał na zakupy. Zawsze zabierał ze sobą coś do sprzedania. A to masło, a to sery.

Jak skończyłem pierwszą klasę, to zaczęła się II wojna światowa. W wojnę po całym świecie nas ganiłi. Front raz z jednej raz z drugiej strony. Ojciec uciekł z domu, bo nie chciał by go Niemcy złapali. Pamiętam, jak tu pod olszyną Niemcy z karabinami się czołgali. Taki jeden wszedł do nas i pyta: *Matka, a gdzie ojciec?* I machał tym karabinem jakby chciał się dowiedzieć czy tato na wojnę poszedł.

Oni bardzo bali się Polaków. Jak zobaczyli, że wieś bezpieczna, to i pozostali wyszli z lasu, odpoczęli i dalej ze śpiewem poszli. Pamiętam też innym razem nalot niemieckich samolotów. Tak nisko leciały, że zdawało się, że czubki drzew trąca. Polskie wojsko z karabinów do nich strzelało. Oj! Słabo my byliśmy uzbrojeni. Możesz Pan nie wierzyć, ale niektórzy saperzy to dla zmyłki zamiast broni kawałek sztachetki nieśli. Niemcy potem zajęli wszystko, ale nam pozwolili zostać. Potem Ruskie przyszły. Ja byłem walny chłopiec i umiałem z nimi gadać. Pamiętam spotkanie z nimi w Wilamówce. Oni tam stacjonowali i kuchnia we wsi stała. Wtedy tylko trzy rodziny we wsi zostały, a resztę cywilów ewakuowali przed frontem. Miałem trochę obdarte ciuchy, a ten żołnierz do mnie tak: *Malczik, a ojca imiejesz* – gada po rusku. Ja kręcę głową, że nie mam nikogo (ja zełgał). On tak na mnie popatrzył i dalej pyta: *Ty, malczik. A sapogi chcesz?* I ten Rusak wyciąga szwabskie buty i mi je daje. I dał mi jeszcze ze dwa kilo takiego cukru w kostkach. Spytał jeszcze: *a u kogo Ty jest?* A ja mówię, że tu u takiego

kuzyna. *A on Cię nie bije* – pytał Rusak. *Bo jak Cię bije to my go tratataaaaa*, pokazując na karabin. Potem częściej u nich bywałem, co rusz zupą mnie częstowali: *kuszaj Malczik*.

Co było po wojnie?

Po wojnie nie było nic. Jak my tu przyszli na Olszową Drogę to Panie, tu same okopy były i ziemianki ruskie. Myśmy rok czasu siedzieli w takiej ruskiej ziemiance i w piwnicy kamiennej co się została. Wieś była mocno zniszczona, część domów rozebrana, a jak Niemcy wychodzili to dużo spalili. Ale to Ukraińcy co u Niemców służyli palili. Tylko Magnuszewskich dom się został. Przestojął obie wojny. Tu wszędzie dookoła miny leżały. Pamiętam raz taki młynarz z Radziłowa, co po tej stronie łąkę miał, zaproponował: *Wy mi tę łąkę skosicie, a ja Wam na chleb mąki przywiozę*. A ojciec i starsi bracia już dobrze kosili (ja jeszcze młody był), to się na to zgodzili. Zaczęli kosić i nagle jeden z braci woła: *Tatu, coś tu pod nogą je*. A ojciec gada: *Synku, choć nie gnieć, może to mina?* Brat się schyli, trawę odchylił, patrzy, a tu mina, taka ruska skrzynka - pułapka.



Sianowanie

Fot. A. Hołubowicz (arch. BbPN)

I widzisz Pan? Jest Pan Bóg na tym świecie. Po tym pasie minów kosili i wyszli cało.

A ile tu ludzi zabiło od tych min. To do lasu po drzewo poszedł i wraca z oberwaną nogą. A inny to krowy poszedł paść i bez ręki wrócił. A ile krów, dzików, lisów pozabijało. A my bez tyle czasu żyli i nic się nikomu nie stało, włos z głowy nie spadł. Mnie też jako dzieciaka do tych min ciągnęło i ja te miny rozbierał. A były i niebieskie i czerwone i takie stojące. Niestety, potem nie tyle od miny co od odłamka mojego syna zabiło. Poszli we dwóch z chłopcem od sąsiada do lasu, gdzie leżało skradzione drewno. I tam te miny znaleźli. Ja go tak pilnowałem i ten jeden raz ubłagał on matkę, co by go z kolegą puściła. I stało się nieszczęście.

Czy dużo mieliście łęk?

Dziadki kiedyś tu majątek mieli. Wszystko nasze było aż do Niebrzydowskich. A i teraz trochę jest. Wszystko z tej strony Biebrzy. Słemu się kosiło i kośników też się najmowało. Kosiło się w trzech, czterech i w pięciu. Czasem jeden przed drugiego leciał, kto lepiej kosi. Dawniej

to było koszenie. Patrząc się chciało. Ziemia się świeciła, jak wykosili. Kosy sami klepałiśmy. Często z bratem lubiałem sianować. Siano na nosilkach brygada donosiła. Ja stogi stawiał, brat podawał. Za dzień to my cztery, pięć stogów stawili, po 25 kop każdy (kopa to jeden transport na nosilkach). Kobiety u nas raczej w domu zostawały. Gotowały jedzenie, warzyły piwo. Ono takie dobre było, że tylko świst szedł jak się piło. Przed sianokosami zazwyczaj świniaka się biło, żeby jedzenia dla wszystkich starczyło. Tradycją zaczynać było sianokosy po Piotrze i Pawle. Sianowanie to do miesiąca trwało.

Jak zmieniła się Biebrza?

Biebrza to piękna rzeka, Panie. Ona teraz zmarnowana. Te bobry ją zmarnowały. Niepotrzebnie te bobry na tę Biebrzę wpuszczone były. Krzaków więcej nad rzeką było i ryb dlatego więcej było – tej białej ryby było więcej: leszczów, jaziów, to Panie słodoma była. Jak się człowiek równo z wodą położył, to aż się gotowało. Mój brat strażnikiem rybackim był. Po wojnie rzeka podzielona na obwody była i się dzierżawiło. Lew-

kowskie mieli 21 obwód a my 22 obwód jak dobrze pamiętam. Nasz odciniek był od Klimaszewskiego rowu w dół rzeki. Dzierżawa odbywała się na zasadzie licytacji, kto więcej dawał ten zaarendował od rządu na rok. Potem brało się dwóch, trzech rybaków i oni dla nas łowili. Ryby się do Białegostoku woziło. 50 – 60 kilogramów ryb się wiozło na rynek. Zajechało się do Białegostoku, dogadywał się człowiek z wozakiem od dorożki, a ten na rynek nas wiozł. Tam mieliśmy swój stół i wagę. Czasem sprzedawanie nam nie szło, ale pomagał nam taki „hurtownik” co łatwiej te ryby umiał ludziom sprzedawać. Myśmy zawsze tam te parę złotych opuścili, a on od nas całą rybę brał.

Ja sam też chodziłem łowić. Tyle, że tej ryby więcej było. Krzaki na brzegu rzeki były i ta ryba miała się gdzie wytrzeć, przed krą się schować.

Kiedyś nad Biebrzą niebezpieczną przygodę miałem. Powiem prawdę, o mało co się nie utopiłem. Poszliśmy na zabawę na drugą stronę, do Mścich. Często się tam na zabawy chodziło, do Mścich, do Klimaszewnicy. Jakoś przyszło mi samemu do domu wracać. Ktoś przede mną moją

łódką na drugą stronę rzeki przejechał. Przepląywałem przez rzekę, ale tuż przed drugim brzegiem zaczynałem się wodą krztusić. Szczęśliwie jedną ręką za krzewinę złapałem i się uratowałem.

A sumy się trafiały?

Dawniej to sumy były. Kiedyś chyba z Gdyni przyjechali takim gazikiem. Ja krowy pasłem, a oni takie sumy po 20 – 30 kg złowili. I robią te zdjęcia sobie, i na samochód kładą, i w rękę biorą.

A orytkę Pan pamięta?

No, a jakże. Całe tafle rzeką szły. Dawniej spało się na ruście (strychu – red.). Jak człowiek wyszedł na wiosnę, to na zimę wracał. Flisacy co rusz do siebie nawoływali jeden do drugiego, by drogę wskazywać. Jak się tam spało, to był z nami taki pastuszek, Kostek z Dolistowa. Jak on ich usłyszał, to sam do nich dla żartów wołał: *Dobrywaj Jaśko, dobywaj!*

A ptaków było więcej jak dzisiaj?

Eeeee, co to Panie dzisiaj. Żałoba narodowa. Kaczek i innych ptaków to zatręśnienie było. Krowy się gnało,



Wilk - największy drapieżnik doliny Biebrzy

Fot. P. Talała

*Kiedys paśliśmy stado owiec i bydła.
To wiesz Pan co, wilki kradły nam te owce.*



a tu na każdym prawie karczu kaczka się gnieździ. Patrzysz, a tam łepki wystają. Kaczaków na jeziorkach pływało Panie, że aż czarno było. Dzisiaj łąki nie koszone, to i ptaków nie ma. Dawniej to polowania na ptaki urządzali. Kiedyś przyjechał taki jeden z Krakowa i pyta, czy ja bym mu łosia nie pognął. Czemu nie. Mówię mu: *idź Pan na grobel, a ja tu na taki grądzik zajdę*. Zachodzę, patrzę, trzy piękne łosie stoją. Klasnąłem, a one poszły na niego. A on nie strzela. No, ja idę do tej drogi, gdzie ten myśliwy stał. A on do mnie: *Nieciecki, nie krzywda? Masz dniówkę. Ja zdjęcia zrobiłem, popatrzyłem. O, dobrze*. A czemu Pan nie strzelał? *Ja nie mięsożerny. Ja tylko popatrzeć przyjechałem. Ja nie będę bił, bo mnie nie potrzeba bić*. To był myśliwy. Polowało się dużo. Pamiętam jak przed wojną polowali. Oj, to byli myśliwi inni niż teraz. Taki jeden kiedyś się omylił i kaczkę zabił. Jak on cały wieczór lamentował z tego powodu, że kaczkę zabił, nie kaczora.

A czy kiedyś było więcej cietrzewi?

Pewnie. Na tej olszynie przy domu, pod wiosną to stada siedziały i kłuły.

Dziś nie zobaczysz. Ja teraz się dziwię. Taka ochrona, takie wszystko, a ptaków nie ma.

Czy spotkał Pan wilka?

Wilka? Kiedyś paśliśmy stado owiec i bydła. To wiesz Pan co, wilki kradły nam te owce. Złapie tego barana za kark i poniesie. Teraz też dwa duże tropy wilków w ostępie widziałem.

Jak Pan został opiekunem prywatnych lasów?

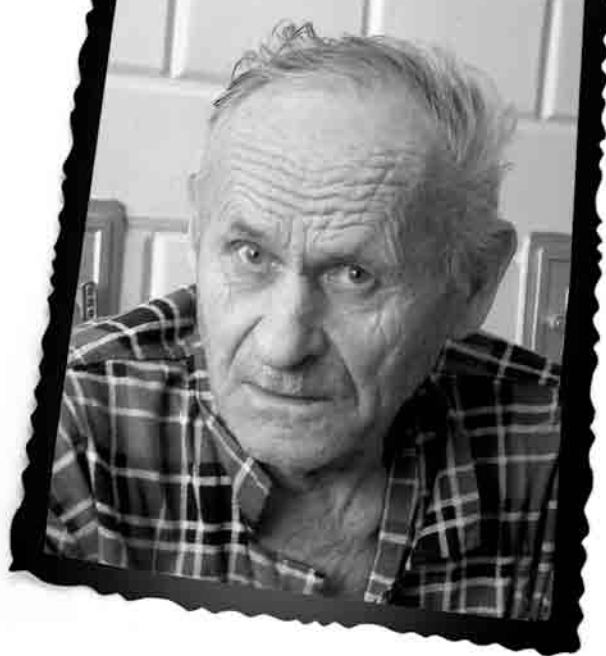
Bardzo lubię las. Ludzie mnie wybierali. Jeszcze te stare pokolenie, już dziś nie żyją. Ja ten las dobrze znam, wiem który dział do kogo należy. Mają do mnie zaufanie. Dziś jak ktoś do lasu po drzewo jedzie to najpierw do mnie zajeżdża. Leśniczy najpierw do mnie kieruje.

Które czasy były lepsze, te obecne czy te minione?

Niełatwo odpowiedzieć. Dawniej stary człowiek skazany sam na siebie był. Dziś choć trochę emerytury dostanie.

Pana recepta na szczęśliwe życie?

Nie przejmować się. Trzeba z ludźmi i do ludzi przychylnym być.



KAZIMIERZ OSTROWSKI

Olszowa Droga

†2010

Zajęcie: Strażnik łosiowy, rolnik

Na łosiowych ścieżkach

Proszę opowiedzieć nam o początkach Pańskiej pracy jako strażnika w Rezerwacie Czerwone Bagno.

Pracowałem od początku istnienia Rezerwatu Łosi na Czerwonym Bagnie, czyli od 1957r., naszym kierownikiem był inż. Romanowski. pochodzący z Prostek. Koledzy ze straży to też „miejscowi”: Edek Kobeszko, Kwitak z Dolistowa, Laskowski z Dawidowizny. Czterech nas razem pracowało.

Był pan rolnikiem, więc jak to się stało, że zdecydował się pan na pracę strażnika?

Lata powojenne były ciężkie liczył się każdy grosz. Gospodarka była nieduża, ziemia słaba, to się człowiek imał każdej roboty, żeby tę gospodarkę na nogi postawić. Do budowy domów się chodziło, i do lasu w zimie do pracy przy drzewie, a i łódek się kilka zrobiło. Jak się dowiedziałem, że szukają na strażnika, to się zgłosiłem. Posada dobra,

stała pensja, deputat na drzewo na zimę na opał, mieszkanie służbowe.

Jednak ta praca nie była sielanką. Wiemy, że kłusownictwo w latach powojennych było ogromnym problemem. Jak sobie Panowie radzili z kłusownikami?

To niemiłe wspomnienia, problem dotyczył wtedy całego kraju, było zaledwie kilkanaście lat po wojnie, ludzie posiadali starą broń, a bieda przymuszała ich do kłusowania. Jedni polowali, aby przeżyć, ale inni – żeby zarobić. Strach było w terenie ich ganiać, bo jak się odwróci i strzeli? A problem rozwiązywał się niekiedy sam. Jedni drugich wydawali i wtedy się ich łapało, dowody na działalność kłusowniczą znajdowało się w gospodarstwach. Więzienia w całym kraju pełne były skazanych za kłusownictwo.

Czy mógłby Pan powiedzieć, jak wyglądały Wasze patrole na tak rozległym terenie – od Czerwonego Bagna aż po basen południowy?

Początkowo mieliśmy tutaj wóz i takiego naszego konia, a później dostaliśmy tarpana z Białowieży,

takiego siwka. Pływało się łódkami. Nawet z Woźnejwsi do Goniądza. To trzeba było Jegrznią, Kanałem do Łeku (Ełku – przypis redakcji) i Łekiem do Biebrzy. A i dalej my pływali – na Kobieie (Kobielne – przypis redakcji). Najgorzej było latem, bo zielskiem zarastało.

Bez kompasów, samochodów i map, to chyba i zgubić się można było wśród bagien?

Ja chodził i nigdy nie zbłądził. Chodziło się do Polkowa, Kopytkowa, na Dolistowo i z powrotem przez bagno. Pamiętam do dziś wszystkie tryby, wszystkie dróżki, wszystko. Na Orlim Grądzie (na terenie Rezerwatu Czerwone Bagno – przypis redakcji) przyszło nam kiedyś nocować pod gołym niebem. Rósł tam dąb – niewysoki może, ale taki rozłożysty. Pamiętam jak dziś.

Ma Pan może jakieś fotografie z tamtego okresu?

Tak, lecz do tej pory zachowało się ich niewiele. Mieliśmy sporo tych zdjęć, ale się część rozdało, inne się przez tyle lat gdzieś zawieruszyły. Ale przyjeżdżali panowie z mi-

nisterstwa, z ochrony przyrody – to pomagaliśmy im dojść do miejsc, gdzie mogli fotografować łosie. Należało się dziwić, że nie mogli.

Znamy „Księgę Łosi”. Robione w niej notatki pochodzą właśnie z końca lat 50. Czy każdy strażnik robił takie notatki?

Spotykało się różne łosie i robiło się szkice, i opisywało. Poroży to chyba z pięćdziesiąt miałem, jak nie więcej – i wszystkie: szpice i baidylarze, i łopaty. Znało się te ścieżki łosiowe.

W roku 1960 rezerwat włączono do nadleśnictwa. Jakie były wówczas dzieje strażników?

Niektórzy zostali w nadleśnictwie. Mnie się gospodarki żal zrobiło, bo i nie było, komu tam robić, to wróciłem.

Czy chciałby Pan wrócić, zobaczyć jeszcze te miejsca, które tak dobrze Pan zna?

Oj teraz to już nie te nogi, co kiedyś. Wtedy to się całymi dniami chodziło i nic, a teraz na krótki spacer to już ciężko się wybrać. Niech młodzi chodzą.

Jak Pan wspomina ten czas, gdy był Pan strażnikiem?

To była dobra robota. Nie siedzisz na miejscu – ciągle w ruchu, zawsze w terenie. Czas szybko schodził.

Rozmowę przeprowadzili:
A. Wiśniewski, A. Wiatr,
Olszowa Droga, 2004 r.



Fot. arch. M. Kobeszko

Straż łosiowa na Czerwonym Bagnie 1959 (od lewej: E. Kobeszko, K. Ostrowski)

*Spotykało się różne łosie i robiło się szkice,
i opisywało (...) Znało się te ścieżki łosiowe.*





WŁADYSŁAWA PACHUCKA

przez wiele lat mieszkała na Dębcu

(mała osady nad rzeką Ełk,
w środkowej części doliny Biebrzy).

Obecnie w Kapicach.

rok urodzenia 1930

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa, tkanie

Jak trafiła Pani na Dębiec?

Kiedys do Masi, skąd pochodzę, (wieś pod Mońkami - red.) przyjechało dwóch kawalerów na zabawę. Jeden był z Dębca i grał na harmonii. Tak zagrał, że mając 22 lata wyszłam za niego za mąż. Pachucki Jan się nazywał. Z mężem od razu na Dębcu zamieszkałam. Chałupa była drewniana, ładna, duża. Poprzedni dom Niemcy w czasie wojny spalili, bo mówi-

li, że tu partyzantka jest. Jak do-
tarłam na Dębiec to już budowa-
li tam oborę. Jak mąż mnie przy-
wiozł na Dębiec, to była zima, je-
chało się po zamarzniętej ziemi.
Nie widziałam, jaki tu świat na-
prawdę. Dopiero wiosną, jak się
roztopiło, to zobaczyłam że do-
okoła sama tylko woda i bagna po
horyzont. Tylko dwie chałupy, na-
sza i brata mężowego.

*Jednego syna na kwaterze trzymałam, jak chodził
do szkoły. W sobotę po niego iść trzeba było
i przynieść z Kapic na Dębiec. Wody i błota po pas
było, aż krowy się topiły. W poniedziałek
z powrotem trzeba było nieść.*



Jak wyglądało codzienne życie?

Codziennosc była ciężka. Wokół bagna, woda. Wiosną to wszystko było zalane i tylko łódką żeśmy przejeżdżali. Dlatego tylko „górkę” żeśmy obrabiali. Wszystko samemu na miejscu się robiło: zboża się zmełło i chleb się piekło. Na Dębcu jeszcze mieszkał brat mojego męża, pomagaliśmy sobie.

Robiliśmy dużo siana. Teść, to z Ciszewa najmował do pracy przy sianie. Od razu siedmiu, ośmiu chłopców przychodziło. Sianokosy pod koniec czerwca się zaczynały. Koszenie gdzieś z miesiąc trwało. Ile ja się nagrabiłam. Najpierw w kopy, później w stogi. Zimą się sprzedawało to siano i z tego siana żyliśmy. Ja jeszcze tkalam i też sprzedawałam. Szydełkiem też robiłam takie obrusy, serwety.

Z inwentarza to dwa konie mieliśmy, cztery krowy i jałowizny trochę. Pola żadnego nie było, wokół same bagna. Świnie się też chowało i biło się świnie. Mięso się wędziło. Swoją centrifuga była (wirówka do oddzielania tłuszczu z mleka – red.). Masło się robiło i raz w tygodniu do Grajewa się woziło. Zimą to sankami. Światła nie było. Dom oświetlało się lampą naftową. Mieliśmy też takie radio na baterie. Dzieci miałam sześcioro. Troje nie żyje. Zmarły, jak były małe, bo do lekarza dojechać nie zdążyliśmy. Z jednym, to do Rudzkiego mostu doszli i zmarł. Drugiego, to w płachcie nieśliśmy do wsi, i też za późno było. Kiedy teść zmarł, nie można było niczym nieboszczyka przewieźć, tylko łódką. Konia zaprzęgåło się do łódki, dziadka

do łódki, i do Kapic aż się przywiozło. Tutaj ubrali i tutaj pogrzeb się odbył.

A jak dzieci do szkoły chodziły?

W Kapicach była szkoła i było tam 24 dzieci. Jednego syna na kwatery we wsi trzymałam u takiej ciotki. W sobotę po niego iść trzeba było i przynieść na Dębiec. Wody i błota po pas było, aż krowy się topiły. W poniedziałek z powrotem trzeba było nieść.

Jak spędzało się zimy na Dębcu?

Zimy były ostre. Jak śniegu napałało, a woda była skuta mrozem to sankami się jeździło. Raz teść pojechał do Grajewa końmi. Jak wracał to już ciemno było, a drogę zawiało. Nie wiedział, w którą stronę jechać i krzyczał. Musieliśmy do niego z pochodniami wyjść by drogę do domu wskazywać. Raz na rok do kościoła się chodziło. Zimą, to księdza po kolędzie sankami się przywoziło, ale ksiądz tylko ze dwa razy był. Bo jak tu dojechać?

A na zabawy z mężem Pani chodziła?

No tak. Jak sucha jesień się trafiła to prywatki się robiło. W so-

botę, niedzielę zabawy były. Mąż mój miał harmonię i pięknie grał. Ludzie z Kapic przychodzili. Oj, żeby nie ta harmonia to ja bym na Dębiec w życiu nie przyszła.

A jak przyroda wyglądała?

Przyroda była piękna. My z jednej strony łąkę kosimy, a z drugiej strony... dziki kopią. Łosi było też dużo. Wilki przychodziły i pod fundament do obory się podkopywały, tam gdzie świnie stały. Dobrze, że w gospodarstwie były duże psy, które je przeganiały. Raz zdarzyło się, że wilki owce nam porwały.

A kiedy się wyprowadziliście z Dębca?

My już tutaj we wsi chyba 42 lata mieszkamy. Stał tu opuszczony budynek. Należał do rodziny z ziem odzyskanych, ale dłużej już nie chcieli tutaj mieszkać. Więc od nich odkupiliśmy i zamieszkaliśmy w Kapicach. Ale dziadki zostały na Dębcu, jeszcze z dziesięć lat tam żyli – wiadomo, ojcowizna. Z pokolenia na pokolenie na Dębcu żyli. Żeby i kto teraz 100 mi-

lionów dawał, to tam na Dębiec bym nie poszła. Teraz we wsi to nam dobrze. Pola mamy i jest co robić.

Co najczęściej jadaliście?

Kapusta kiszona, buraki, ryb też sporo się jadło.

Na Dębcu stoi kapliczka. Zechce Pani o niej opowiedzieć?

Jak nam dzieci poumierały to my mszę zamówili i tę kapliczkę postawili. Tak ludzie doradzili, żeby postawić, to zdrowe dzieci będą się rodzić i zdrowe się wychowają. Krzyż ten do kapliczki robił kowal w Grajewie. Nazywał się Sztachanski. Odkąd kapliczkę postawiliśmy wszystko się poprawiło.

Czy żyło się Pani lepiej obecnie czy dawniej?

Teraz lepiej. Przedtem nic nie można było kupić. Do kościoła raz w roku, a tutaj, co niedziela. Lepsza teraz Polska. Żeby te dzieci nie poumierały, to by szczęśliwe życie było.

Do rozmowy, przyłączył się syn Pani Władysławy, Pan Bogdan Pachucki.



A jak Pan pamięta dzieciństwo?

Mnie to się na Dębcu podobało. Cisza, spokój. Latem spływy kajakowe były, namioty stały, niektórzy nocowali. Razem z ojcem żeśmy też skóry wyprawiali, szleje (uprząż końska – red.) się szyło. Na ryby często jeździłem. Na wierszę się łąpało (stojący kosz w kształcie dzwonu, wypłatan z wikliny – red.). Wiersze samemu się robiło. Ryb łąpało się dużo. Przetrzymywaliśmy je w ko-

(...) dookoła sama woda i bagna. Tylko dwie chatupy.

*(...) A kiedy teść zmarł, nie można było niczym
nieboszczyka przewieźć, tylko łódką.*



szu, w rzece. Nawet się sprzedawało, bo wiele innych możliwości dochodu nie było. Robiliśmy też sery. Przez tydzień, to gdzieś około 10 serów się robiło.

W domu opalało się drzewem i torfem. Do dziś jeszcze te kanały po kopaniu torfu na bagnach zostały.

Nocowało u nas dużo osób, ci co u nas sianowanie robili, potem ci od melioracji. Melioranci to się także stołowali. Mama zupy im gotowała na wieczór, bo cały dzień na suchym prowiancie żyli. „Detem” (ciągnik na gąsienicach produkcji radzieckiej – red.) jeździli na zakupy. Wesoło było. Samogonki popijają, zaraz muzyka, tańce. Samogonkę na miejscu się robiło. Później, to już milicja często przychodziła i szukała samogonki.

Z Kopic później się do dziadków na Dębiec często chodziło, krowy się tam ganiało.

Sam potem w melioracjach pracowałem. Robiłem przy na Kanale Kuwaskim zastawki, zasuwę. Pracowałem na dźwigu. Czasem to godzina roboty, a nieraz cały dzień wyciągania z błota.

Skąd wzięła się nazwa Dębiec?

Nazwa Dębiec wzięła się stąd, że tam kiedyś rosły duże dęby. Jak kopaliśmy torf, to gdzieś na dwóch metrach natrafiliśmy na takie dębowe kłocę.

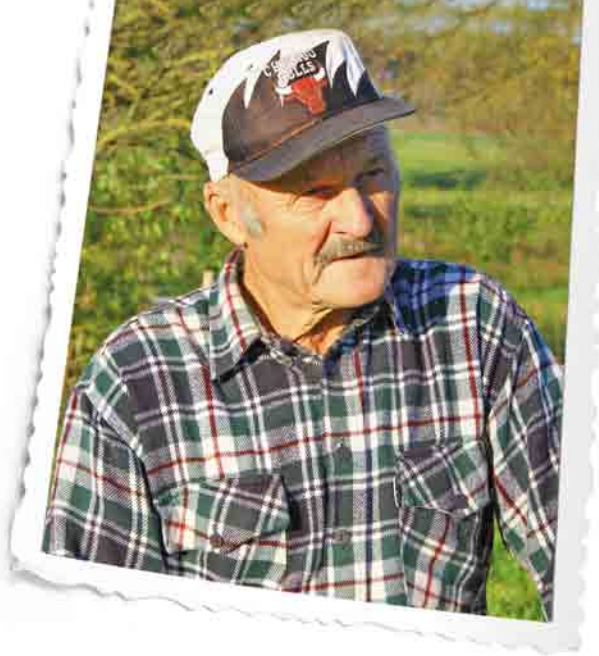
A cietrzewi było dużo w okolicy?

Było sporo cietrzewia. Kiedyś na lisa odstrzał był. Teraz tych lisów jest co nie miara i to on może tego cietrzewia tak przetrzebił. Dawniej też zajęcy była masa, teraz nie ma nic. Kuropatw było dużo.



Narzuta Pani Pachuckiej

Fot. A. Wiatr



EUGENIUSZ PEZOWICZ

Zucielec

rok urodzenia 1938

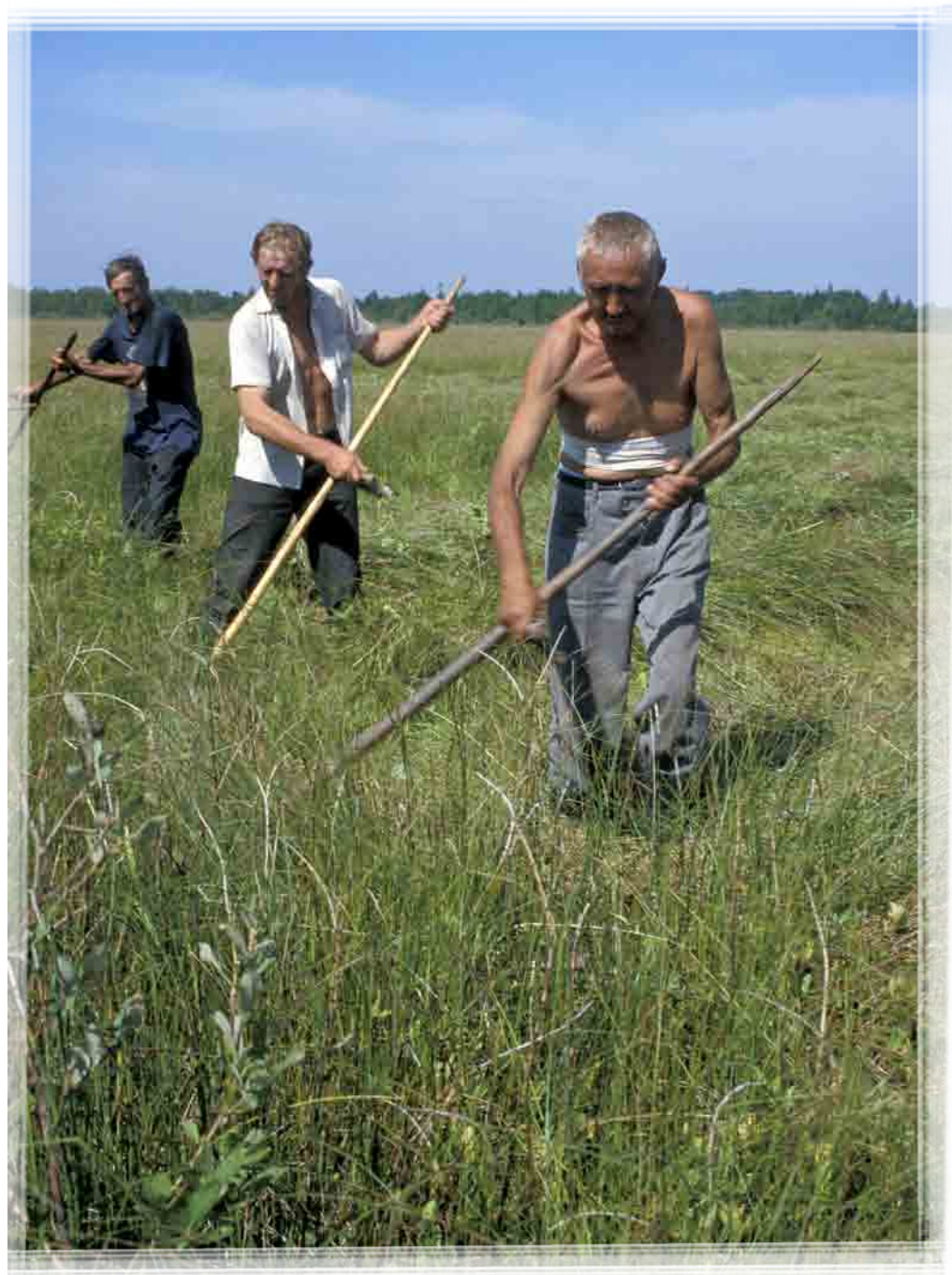
Zajęcie: rolnik, dawniej kosił dużo łąk ręcznie

Można powiedzieć, że jest Pan ekspertem od koszenia kosą.

Kiedyś całą pracę ręcznie się robiło. Łąki, zboże, wszystko się kosą kosiło. Nie było żadnej mechanizacji. Wszystkie łąki tam, gdzie obecnie znajduje się Biebrzański Park Narodowy były koszone ręcznie. Siano było grabione grabiami, na nosidłach się nosiło i stawiało się stogi. Dzisiaj wszystko jest odwrotnie. Robi się bele, prasą ciuki, dawniej wszystko ręcznie. Dlatego kosa była niezbędna. Teraz to narzędzie – zabytek, prawie muzealne. Ja jesz-

cze w swoim gospodarstwie mam cep. Po śmierci taty w 1954, jeszcze dziewięć lat młóciłem cepem zboże. Obecnie to i ja sam rzadko kosy używam. Nadal jednak umiem ją wyklepać, naostrzyć. Synowie kosy już nie używają. Jednak jak ukosić trochę królikom potrzeba, to kosa nadal jest niezbędna.

Mam na Olszowej Drodze 3 ha łąki. Będąc jeszcze kawalerem to ja te trzy hektray wykosiłem przez 4 dni. Robiłem tak przez dwa lata, potem nie dawałem już rady i zajmowało mi to dłużej. Dobry ko-



Biebrzańskie sianokosy

Fot. A. Wiatr

Kosę bierze się za piętke i uderza w kamień.

*I słucha. Jak dobra kosa, to dźwięk
będzie taki krótki, głuchy, a jak słaba,
to kosa jak blacha dzwoni.*



śnik, jak dobra kosa, to pół hektara za jeden dzień wykosi, od ósmej rano do zachodu słońca. To była ciężka praca.

Jak poznać, że kosa jest dobra?

Podstawą dobrego kośnika jest dobra kosa. Dobrze zahartowana, twarda, ale nie może być „sucha”. Kiedy się ją klepie to musi się ciągnąć za młotkiem, a nie sypać, szczerbić.

Ja dzisiaj, po tylu latach, to już potrafię wybrać. Kiedyś nie umiałem. Starsi jak wybierali kosę to korzystali z kamienia. Kosę bierze się za piętke, jak my nazywamy, i uderza się w kamień. Słucha się wydobywającego dźwięku. Jak dobra kosa, to ten dźwięk będzie taki krótki, głuchy, a jak słabej jakości, to kosa jak blacha dzwoni.

Jak Pan wspomina tamte dawne czasy?

To było inne życie. Jak się jechało kosić to cała wieś końmi jechała, było wesoło. Łąki na bagnach to żeśmy jechali kosić po Pietrze. Po 29 czerwca. Wtedy u nas jest odpust i po odpuscie na łąki się jechało kosić. Zawsze po zimie długo woda się utrzymywała, nie miała gdzie odpłynąć. Woda musiała wyparować i wtedy ruszało się do koszenia. Ale to było życie! Ja to zawsze wspominam i opowiadam swoim synom, jak się za kawalera kosiło. Dziewczyny razem z nami do siana grabić jechały. To było życie. Dzisiaj, co? Jedzie się kosić maszyną. Kilka hektarów w ciągu kilku godzin można zrobić. Koszenie ręczne wspominam naprawdę miło, choć to była bardzo ciężka praca.



ANNA I MATEUSZ POLKOWSCY

Kuligi

MATEUSZ POLKOWSKI

rok urodzenia 1934

Zajęcie: gajowy



Czy mieszka Pan od urodzenia w Kuligach?

Nie, urodziłem się i wychowałem w Kopytkowie. W Kopytkowie mieszkaliśmy tam, gdzie ten rów idzie do Dolistowa. Dziś trudno uwierzyć, ale przed wojną były tam 22 domy. Nawet szkoła była i jeden nauczyciel na stałe. Po wojnie to już tylko szkoła w Polkowie została, a nawet siódmą klasę kończyłem w Dolistowie.

Jak to się stało, że został Pan gajowym w Nadleśnictwie Rajgród?

Po służbie wojskowej (a służyłem w Pomiechówku pod Warszawą) tro-

*Na Grzędach przed wojną 22 domy były.
Ludzie krowy chowali, w lesie pracowali i wcale nie
narzekali, choć stamtąd wszędzie daleko.
Ale masło, mleko do Goniądza łódkami wozili.
A wilk to przychodził na podwórko
i z podwórka zwierzaki brał.*



chę na gospodarce dorywczo pracowałem, ale ciągnęło mnie do czegoś innego. Miałem znajomego leśniczego i tak się dostałem do pracy w nadleśnictwie. Było to 1 lutego 1962 roku. Za jakiś czas zostałem gajowym na Grzędach. Pracując w lesie miałem różne obowiązki. A to trzebieże wyznaczałem, sprawdzałem czy nic nie ukradziono, a kradli wtedy sporo. Zręby się kontrolowało. Pamiętam jeszcze jak drzewa ścinało się ręcznie, później dopiero piłami spalinowymi. Po siedem zrębów rocznie się robiło. Przeważnie zimą, po 4 – 5 hektarów każdy. Do pracy rowerem jeździłem, dopiero potem motorem, miałem

WFM. Na Czerwonym Bagnie było trzech gajowych i leśniczy czwarty. Pierwszy leśniczy jakiego pamiętam to był Kowalewski, a drugi nazywał się Papież. Prace swoją lubiłem. Zimową porą to było ciężko. Najgorzej dojść było, a ja przeważnie nadzór nad robotnikami miałem.

Czy Pan był też myśliwym?

W lesie zwierzyny było dużo - łośi było sporo. W pracy prawie każdy leśniczy myśliwym był. W 1972 egzamin dobrze poszedł i ja też zostałem myśliwym. Miałem fuzję służbową. Później do koła łowieckiego zapisałem się i tak to było.

A jakie Pan swoje najlepsze polowanie pamięta?

Jak zabiłem lisa. Wtedy była moda na futra, a córka chciała lisa na kołnier. Zaczynaliśmy się rozstawiać, a na moim stanowisku był taki wywrot. Usadawiłem się ja na tym drzewie. Patrząc, a lis leci na mnie. Ja fuzję do oka, strzelam, a on myk i leży. Na rozkładzie mam także dwa dziki. Potem już mało polowałem. Na Grzędach to tylko dewizowcy przyjeżdżali i polowali. Dla myśliwych też na początku 1972 roku Kolibę wybudowali (mała drewniana chata, która stała na Tchórzach Grzędach – red.). Tam w niej jednak przeważnie turyści przebywali, myśliwi nie korzystali. Dla Spychalskiego (Marian Spychalski – wieloletni działacz partyjny i państwowy w okresie PRL – red.) to tu, przy dębach taką budę zbudowali i on polowanie zaczynał. Wil-

ków też na Grzędach trochę było, nawet strzelałem do wilka, ale chybiłem i poszedł cało.

A jaka jest historia tej świętej sosny, która przy drodze na Nowy Świat rośnie?

Ona już przed wojną tam była. Tak uschła i tak stoi do dziś. Tą kapliczkę urzędnicy powiesili i nawet Niemcy jej nie ruszyli.

Jak Pan pamięta niemiecką pacyfikację bagiennych wsi?

Dziewięć lat miałem, jak to było. Tego dnia Jasionowo, Kopytkowo i Grzędy, wszystkie wsie spalili. W Kopytkowie rano zebrali wszystkich. Kazali tylko z podręcznym bagażem wyjść. W czwórkach poustawiali, chłopcy oddzielnie, kobiety oddzielnie. Przed nami stał karabin maszynowy, taki na nóżkach. Uratował nas komisarz. Do-



Święta sosna to już przed wojną tam była.

*Jak uschła tak i stoi do dziś. Tą kapliczkę urzędnicy
powiesili i nawet Niemcy jej nie ruszyli*

bry był, ale i tak wywieźli nas na roboty. Najpierw furmankami do Sztabina. Stamtąd już samochodami do Grajew na stację i koleją do Niemiec. Byłam tam 17 miesięcy. Matkę i rodzeństwo też wywieźli, a było nas sześcioro.

ANNA POLKOWSKA

rok urodzenia 1933

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa



A jak życie wyglądało w Kuligach? – pytam żonę Pana Mateusza, Panią Annę

W Kuligach stało 70 domów kiedyś. Nas też wywieźli, na 6 miesięcy. Jak wróciliśmy to ze wsi niewiele zostało, bo Niemcy wszystko rozebrali. Rodzice gospodarzyli. Zaraz po wojnie ojciec

poszedł na ryby i tam trotył go rozerał. Od małości byłam bez ojca, to była bieda. Sama musiałam pomagać w gospodarce, bo brat do wojska poszedł. Orałam, obornik woziłam. Później po ślubie też sama zostałam, bo mąż w lesie ciągle siedział. Moja babcia z Grząd pochodziła, nazywała się Zawistowska. Stały tam 22 domy. Ludzie krowy chowali, w lesie pracowali i wcale nie narzekali. Stamtąd wszędzie daleko było. Ale masło, mleko do Goniądza łódkami wożili. Żydzi też na Grzędy jeździli, za cielakami. Wilk to przychodził na podwórko i z podwórka zwierzaki brał. Z Kuligów czasem na Grzędy na zabawy się chodziło. Mając 16 lat chodziłam na zarobek do siana aż na Nowy Świat. Czasami tam też się nocowało. Za dzień grabienia zarabiał się 25 kg żyta.

Ja nad Jegrznię na ryby też chodziłam. Kłomlą się łapało i wierszą. Potem to i nawet z wędką chodziłam.

Czy wyobrażacie sobie Państwo życie w innym miejscu?

Byśmy stąd nie poszli nigdzie. Tutaj nam najlepiej. Te czasy dobre. Dom od nadleśnictwa wykupiliśmy. Renta jest. Aby zdrowie tylko było.



Łoś król bagien

Fot. M. Konarzewski (arch. BbPN)



JADWIGA POPOWSKA

Goniądz

rok urodzenia 1924

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa

Jak Pani wspomina dzieciństwo i młodość?

Mieszkałam nad samą rzeką. Rzeką była czyściutka, wokół ptaszki: bociany i inne, bardzo fajnie było. Jak wojsko przychodziło na manewry, to nad rzeką ustawiało te swoje domki.. Okolica była bardzo ładna. Jak już byłam w szóstej klasie, to wieczorem przychodzili kawalerowie i śpiewali do dwunastej. Mój ojciec miał piekarnię. Piekliśmy chleb, bułeczki. W 1939 roku przyjechało wojsko w nocy i kazali się nam wynosić, ze względu na niebezpieczeństwo,

nadchodziła wojna. Rozebrali wtedy cztery domy, nasz i sąsiadów. Mieliśmy tylko 6 godzin, by się spakować. Potem Niemcy zaczęli łapanek i wywózkę do Niemiec. Trzeba było uciekać. Kryłam się w Downarach, tu i tam. Czasy były trudne, dlatego jak miałam 17 lat, to już za mąż wyszłam – w pół do piątej rano, w listopadzie do kościoła poszliśmy ślub brać. Mąż daleko nie szukał, tylko po sąsiedzku mnie znalazł.

W trzy miesiące po ślubie przyszedł nakaz wyjazdu na roboty do Niemiec. No i co? Nie pojechałam. Schowałam

się. Przyszli do męża zabrali dwie krowy, konia zabrali, ale do Niemiec nie pojechałam. Jak już wszystko zabrali, to później męża chcieli zabrać. Przed samym końcem wojny byłam jednak pięć miesięcy w Niemczech na robotach.

Czym się Pani zajmowała?

Robić trzeba było dużo. U męża była gospodarka, a ja nigdy na gospodarce nie pracowałam. U nas w domu gospodarki nie było. Nie umiałam zbierać siana za kosą, to mnie trzeba było uczyć. Później już i stogi stawiałam i do siana chodziłam. Pierwszy pokos z sianowania był w czerwcu przed odpustem Antoniego. Niekiedy to trzeba było parę dni do siana chodzić, bo to deszcz pada. Nieraz to po wodzie trzeba było kopy nosić. To była piekielnie ciężka praca. To były tak ciężkie czasy, ale teraz się nie pamięta. Człowiek musiał robić.

Jak Pani wspomina flisaków?

Bardzo dobrze. Tratwy płynęły dzień i noc, od końca maja. To byli tacy bardzo fajni, weseli ludzie. A jak ładnie śpiewali. Z Dawidowizny jak wypływali to w Goniądzu było słycać, że

flisacy płyną. Często u mojej mamy jedli obiady i nocowali. Zamawiali już na tydzień naprzód. Byli bardzo kulturalni, nigdy się brzydsko nie wyrażali. Za wszystko pięknie dziękowali pomimo, że płacili. Pamiętam jak mojej mamy imieniny były to przynieśli kwiaty w prezencie. Z Dębowa to nawet taką dobrą kielbasę z baraniny przywozili. Czasem to i wódeczkę ze sobą mieli. Wtedy chłopcy z Goniądza u nas się schodziły i zabawa była, że świat nie widział.

Jak zmieniła się okolica?

Rzeka była inna jak obecnie. Flisacy jak jechali to ta woda była czysta. Rzeka cały czas płynęła korytem, czasami na wiosnę wylewała na nasz brzeg. Mieszkaliśmy nad samą rzeką i nas nigdy nie zalewało. Kiedy nastało lato wszystkie kobiety nad rzekę chodziły pranie płukać. Przy kobietach pełno dzieci. Całe lato w rzece się myło. Tego ptactwa kiedyś taka masa była, a teraz to zginęło, w ogóle nie ma. Jak się wyszło nad rzekę to czy bociany, czy żurawie czy inne, całe smugi usłane tymi ptakami były. A łosie to przychodziły tu, do sąsiada pod stodołę. Któregoś dnia mąż do

Tratwy płynęły dzień i noc, od końca maja. Flisacy to byli weseli ludzie. A jak ładnie śpiewali. Z Darwidowizny jak wyptywali to w Goniądzu było słychać, że flisacy płyną. (...) Czasem to i wódeczkę ze sobą mieli. Wtedy chłopcy z Goniądza u nas się schodzili i zabawa była, że świat nie widział.



mnie przybiega rano i mówi: „Szybko, chodź, chodź coś zobaczysz, trzy łosie pod samą stodołą”.
Takie to było życie.

A jak wyglądaly zabawy?

Zabawy to nad rzeką żeśmy robili. Był taki grajek Kluk, z ulicy Doli-stowskiej, co za pampuchy grał. Nie-raz nawet do pierwszej w nocy! Cza-sem ojcowie wstawali i krzyczeli: „Gdzie was ta cholera nosi?” Na za-bawach dużo się tańczyło, to było najlepsze. To była jedna rzecz, że młodzież się nie wyrażała i nie było tak jak teraz ta zawiść, wszystko za-zdroszczą.

Pani zdaniem lepsze były czasy mi-nione czy obecne?

Po mojemu to teraz są lepsze czasy. Można się wykształcić, stanowisko dobre zdobyć. Tylko obecnie to lu-dzie za strasznie ważnych się uważa-ją. Dużo zawiści i zazdrości jest w lu-dziach. Dawniej ludzie byli bardziej zżyci. Jak chleb mama upiekła to dla sąsiadki zaniosała, podzieliła się. Te-raz co innego. Minione czasy to na-sza młodość, dlatego może wspomini-nany je z dużym sentymentem.

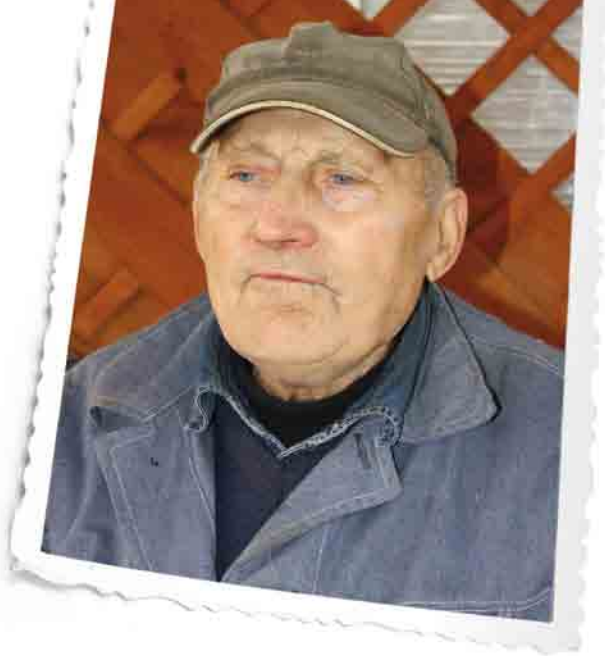
Recepta na szczęśliwe życie?

Najważniejsza rzecz to zgoda.



Wiosenna migracja gęsi

Fot. P. Tałataj



JAN POŻAROWSKI

Dawidowizna

rok urodzenia 1934

Zajęcie: wozak mleka,

hodowca koni

Jak wspomina Pan dzieciństwo?

Moje dzieciństwo wyglądało bardzo niedobrze. Tatuś umarł wcześnie, a nas w domu zostało czterech małych chłopców. Z Guzów (część Goniądzka – red.) przeprowadziliśmy się do Dawidowizny kiedy miałem 13, może 14 lat. Mimo, że wychowałem się nad rzeką, na ryby nie chodziłem. Raz tylko pamiętam, jak niewód przez rzekę ciągnąłem z kolegą, ale tak mnie urządził, że od tamtego momentu powiedziałem sobie, że do-

kąd będę żył to na ryby już nie pójdę. Rzeką jakoś mi nie pasuje – topiłem się już dwa razy. Za drugim razem, kiedy zimą wracałem z lasu, ze Stryzskowa, to nie tylko ja, ale także i fura i kobyła. Wody to ja się boję.

Jak to się stało, że zajmował się Pan wożeniem mleka?

Mleko najpierw woził mój teść. Potem ja tę robotę po nim przejąłem. Mleko woziłem przez 22 lata i dobrze to zleciało. Za pracę płaci-

Zaufaną kobyłkę ja miał, Rytę.

*(...) Żeby ona miała szkołę, to by takie książki
napisała przez te 22 lata,
co ze mną mleko wozila.*

*(...) Jak ją sprzedał, to tak tży
z oczu poszły, jakby ja matkę czy ojca stracił.*



ła mleczarnia, trochę dokładali się rolnicy – nie było źle, zawsze parę złotych z tego zajęcia było. Praca nie była łatwa. Najpierw zaprzędz konia do wozu, platforma była 4 m długa i 2,5 m szeroka i na ścisk konewek (kany na mleko – red.).

Potem w drogę, kolejno od wioski do wioski, od zagrody do zagrody. Dalej przez cały Goniądz, aż do Bartnika (ostatnie gospodarstwo oddające wówczas mleko w Goniądzu – red.) Razem to ze 100 konefków było na platformie. Wszystkie trzeba było trzy razy przerzucić: zdjąć, włożyć i zdjąć. Teraz to z tym mlekiem nawymyślali, kiedyś to aby „klusków” nie

było w konewce i wszystko szło, a teraz to bakterie i inne tam. Pracę zaczynałem o godzinie 4.30, a kończyłem, zależnie od tego jak dobre towarzystwo się przytrafiło w ciągu dnia, czasem nawet o godzinie trzeciej po południu. Najtrudniej było zimą, paskudnie bywało. Jak drogi pozasypywało, to po polach się jeździło. 1000 litrów na pewno woziłem codziennie. Tylko dwa razy do roku nie jechałem: na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. Czasem to i w Nowy Rok trzeba było jechać. Ja też świętowałem, to nic, że się ciutkę wypilo, ale mleko zawsze było zwiezione. Pomagała mi w tym moja kobył-

*Teraz to Panie z tym mlekiem nawymyślali,
kiedys to aby „klusków” nie było.*



ka Ryta. Tak było. Specjalnie nie lubiłem tej pracy, ale musiałem ją wykonywać, bo czwórka dzieciaków była w domu. Potem uczyły się w Białymstoku, mieszkwały w internacie, trzeba było wszystko opłacać, a żona nie pracowała. W czasie tych lat, to z ludźmi miałem tyle przeżyć, różnie bywało. Dobrze, że tak zaufaną kobyłkę miał. Na niej to ja zawsze mogłem polegać. Stawiało się Rytę koło Dolów (gospodarstwo rodziny Dolińskich naprzeciwko posterunku Policji w Goniądzu – red.), niedaleko był kiosk. Czasami to dwie godziny stała i zobacz Pan do domu nigdy nie przyszła sama. Miałem jeszcze pieska, taki czarny był. Jak pod nogami kobyłki się położył to już nikt nie miał prawa wozu wziąć. Gorzej było kiedy z kiosku wracałem. Komendant „Cimoch” na schody

wychodził i mówił: „Co, już się ugotował?”

Innym razem pamiętam moja Ryta przodem, ja z tyłu idę, a milicjant Pawełkowski, który dopiero nastał w Goniądzu, mówi tak: „Jak to pan bez opieki zwierzaka puszcza?” A ja mówię: „Panie Władzo. Wie pan co, ona wódki nie pije, ona chodzi trzeźwiutka. Zobacz jak ona nie stanie kole Karpieja, to pan powiesz czy ona pijana czy trzeźwa?” Ryta poszła dalej i stanęła, dokładnie tam, gdzie był punkt odbioru mleka.

Oj, ile ja miałem tych przygód. Ta kobyła, żeby miała szkołę skończoną, to by takie książki napisała przez te 22 lata, ona cały czas ze mną była. Jak ją sprzedałem, to tak łzy z oczu mi poszły, jakby matkę czy ojca stracił. Ona taka spokojna była. Przez swoje życie miałem ponad 500 koni, i teraz mam dobrać kobyłkę, ale tamta była jedyna.



Konie to pasja niejednego gospodarza znad Biebrzy

Fot. A. Wiatr

*Nad rzeką było lepiej, czyściutko,
rybaków było dużo. Niewody przez rzekę ciągal
a przy okazji zielsko czyścili.*



22 lata chodziła do mleczarni ni-
gdy mnie nie chorowała, nigdy.

***Jak wyglądała okolica, sama wieś
Dawidowizna?***

Teraz nasza wioska lepsza, ład-
niej wygląda. Dlaczego tę wio-
skę dawniej Budy nazywali? Bo ta-
kie małe domy jak budki tutaj sta-
ły. Teraz mamy lepsze, większe
domy. Poza tym, to nic się tutaj nie
zmieniło. Nad rzeką było lepiej, bo
było tam czyściutko, rybaków było
dużo. Niewody przez rzekę cią-
gali, a przy okazji zielsko czyścili.

Teraz? Zarośnięto, zadiablono, nie
ma gospodarza rzeki.

Recepta na szczęśliwe życie?

Uczciwie żyć, reszta się jakoś po-
układa. Dla mnie teraz to są lep-
sze czasy. Wszystko jest tylko pie-
niędzy mało. Kiedyś pieniędzy
było więcej, ale nie było co ku-
pić. Pamiętam jak ja dwa tygodnie
w kolejce stałem by kupić kuchen-
ny kredens. I co? I nie dostałem.
Jestem zadowolony, że dzieci moje
szczęśliwie z domu poszły i żyją
inaczej, łatwiej od nas.



ANTONI RUTKOWSKI

Goniądz

rok urodzenia 1928

Zajęcie: majster-budowlaniec

Jak wyglądało Pana dzieciństwo?

Nasze dzieciństwo było zupełnie inne od tego jakie mają dziś moi wnukowie – myśmy nie mieli tego wszystkiego. Jeden po drugim do-dzierał ubrania. Spodnie matka zała-tała i dobrze było. Na książki i zeszy-ty nie było plecaków, z dykty zbiło się tornister, a w zimę z górki się zjeż-dżało na nim. Kawałek druta do buta się przybiło i były łyżwy.

Wędkować to mało chodziłem. Poje-chaliśmy kiedyś z kolegą na noc, to złapaliśmy na sznury takiego sied-miokilogramowego suma i węgorza.

Innym razem łapaliśmy płotki, zło-wiliśmy ich całe wiadro. Zachęcony, w kolejną niedzielę poszedłem sam. Siedziałem może ze trzy godziny, ale nie tknęła żadna. Rozżalony przeła-małem wędkę, wrzuciłem do wody i powiedziałem: „Płyn, już ja tu wię-cej nie przyjdę” i od tej pory nie by-łem.

Rzeczywiście już Pan ryb nie łapał?

Na wędkę nie. Za to z brodnia i kło-bukiem to tutaj na tej strudze (Czar-na Struga w Goniądzu – red.), to z żoną miednice ryb łapaliśmy. Były

szczupaki, karasie, kielbie, a teraz nie ma nic. Chyba nawozy wytruły. Kiedyś Szafranki, Dawidowizna wszyscy to z ryb się utrzymywali i Żydom sprzedawali.

Czym się Pan w życiu zajmował?

Gospodarki u ojca było niedużo, bo ojciec był fachowcem – murarzem. Tak jak jego bracia, teraz ja i moi synowie (bo mam czterech synów i cztery córki oraz 19 wnucząt i dwa prawnuki). W Twierdzy Osowiec i po całej okolicy ojciec budynki stawiał. Mając 14 lat poszedłem z ojcem pracować. 60 lat robiłem w swoim fachu. Na początku jako zdun zaczynałem. Piec był ważny – taka dusza domu. Dawniej nie było centralnego i gazu jak dziś. Postawiło się kawałek domku i musiał być piec. Hodowałem też bydło i świniały przy tym pracowało się na budowie. Dorywczo szleje szyłem i buty też robiłem. Torf się kopało, tutaj na bagnie. Kopało się nawet na 5 sztychów tego torfu, a sztych to pół metra. Jeździło się też wyrabiać drewno w lesie. Car jak budował twierdzę, to tam goniądzki las był. Dlatego działki pozamieniał i ludziom dalej na południe

poprzesuwał, te działki to 3m 53cm szerokie a 3 km długie.

Pamiętam jak ze śp. Staśkiem Dudkiewiczem na Olszowej Drodze piłą „twoja – moja” to przez dzień zrzynaliśmy nawet 70 bałków (drzew – red.). Kiedyś kłoc miał 100 lat a dzisiaj to „marchew”. Co to za drzewo jak ono ma 40 lat, to sama biel. Kiedyś tej bieli było mało, za to rdzenia i twardzieli dużo. Kłody szły na sprzedaż, a my sobie wierzchołki zostawialiśmy. Najwięcej kiedyś 1200 pęczków urąbałem, a wokół wszystko było wyzbierane.

Najważniejszym zajęciem jednak była murarka. Przed wojną to tylko z hornostajskiej cegły się robiło. Jak ręcznie robili cegły, to ta cegła co innego jak dzisiejsza. Ona wyglądu nie miała takiego, ale była trwała, wyrobiona. Ta cegła klinkierówka z Twierdzy, bo z niej też budowano, każda była stemplowana i 7 kg jedna ważyła.

Oj. Ile ja tych budynków stawiał: w Goniądzu, w Mońkach, w Białymstoku, w Grajewie, za Ełkiem, na Twierdzy, komin na cegielni w Hornostajach...

Tyle już lat mam, ale jeszcze lubię tą robotę.

*Jednak mimo tego, że kiedyś końmi orali, kosami
i sierpem kosili, wszystko rękoma robili, to ludzie
mieli czas posiedzieć na łąwkach
i pogadać. Dziś każdy w domu siedzi.*



Jak zmieniła się okolica?

Tam, gdzie przystań dzisiaj to był tartak. Flisacy drzewo spławiali, rzeka była czysta. Drzewo tutaj po części trafiało do tartaku w Goniądzu, a część płynęła dalej, aż do Narwi. Tutaj, gdzie cały ten park i te wszystkie domy wokół, to sklepiki żydowskie były. Tylko dwa sklepiki były polskie: Zielińskiego i Jasiniak miał kawałek knajpki. Wokół rynku targowica była. Jajka, masło i inne produkty można było kupić. Tu, gdzie dom kultury stoi, to był koński rynek. Krowy, świny, konie sprzedawali.

A jak postrzegał Pan przyrodę?

Niestety, nie miałem za dużo czasu na przyglądanie się przyrodzie. Cały tydzień się robiło. W niedzielę trzeba było jechać obejrzeć robo-

tę, do kościoła trzeba było się wybrać. Nie miałem motoru, wszędzie rowerem się jeździło. Nie było więc czasu na przyrodę.

Jak życie towarzyskie wyglądało?

Prywatki się robiło w szkole. Nie było mowy o zmęczeniu po pracy, na prywatkę się szło.

Ma Pan jakieś wspomnienie, które utkwilo mocno w Pana w pamięci?

To czasy wojny. Jak Niemiec w '40 roku Ruska pognał. Samoloty wtedy jak wrony latały i na Twierdzę zrzucały bomby. Pamiętam także, jak kościół w Goniądzu wysadzili, pod szkołą też już wykopane doły były, tylko nie zdążyli przywieźć materiału wybuchowego. A do kościoła to dwa samochody przywieźli. Założyli pod pierwszą wieżę i pod drugą. Ja

to wszystko widziałem. Naraz tuman kurzu i... kościoła nie ma. Jak wieże padały to załamały sklepienie, tylko kaplica św. Antoniego została bo była z boku. Po wojnie ksiądz Werpachowski odbudowywał kościół, parkany i plebanię.

Jak Pan pamięta Żydów w Goniądzu?

U nas żaden Żyd się nie został. Niemcy stąd wszystkich zabrali, to był 1943 r. O piątej rano to się działo. Wszystkim kazali się zebrać. Młodzi może i by uciekli, ale oni chodzili do Osowca do roboty, a rano tak był Goniądz obstawiony, że nic się nie przecisnęło. Wszystkich wywieźli. Z nimi dobrze się żyło. Najczęściej to byli handlarze, piekarze, krawce.

Gdyby miał Pan porównać czas miniony i teraźniejszy – kiedy było lepiej?

Dawniej wszystko ręcznie wykonywano. Do ciesielki ręcznie się robiło, drewno ręcznie się heblowało, krowkie to tylko z jednej strony się ciosało, aby do deski, a reszta okrągłak. Do tynkowania nie było maszynek,

wszystko ręcznie, tylko graca musiała wystarczyć.

Praca była ciężka, nie robiło się osiem godzin, ja czasem pracowałem po 18 godzin. Do roboty się jechało o czwartej rano i do dziesiątej wieczór pracowało. Żona sama z dziećmi w domu urzędowała. Nie było tak łatwo. Dzisiaj pampersy się założy, a dawniej cały płot pieluchami był zawieszony. W strudze trzeba było wyprać, na wózku przywieźć. Dzisiaj ludzie wiedzą, że żyją.

Jednak mimo tego, że kiedyś końmi orali, kosami i sierpem kosili, wszystko rękoma robili, to mieli czas posiedzieć na ławkach i pogadać. Dziś każdy w domu siedzi. Dawniej była jakaś więź braterska, sąsiedzka, nie było tej zazdrości jak teraz, i w tym jest pies pogrzebany.

A jakiej by Pan udzielił recepty na udane życie?

Mnie wiara w Boga całe życie przy nadziei trzymała. To jest najważniejsze. Dzisiaj o Bogu młodzi zapominają.



Kościół w Goniądzu

Fot. A. Wiatr



STANISŁAW SZESZKO

Chojnowo

rok urodzenia 1939

Zajęcie: rolnik

Proszę powiedzieć jak wyglądało dzieciństwo?

Dzieciństwo to wyglądało marnie. Urodziłem się kiedy wybuchła II wojna światowa. Niedługo po wojnie zmarł ojciec. Miał 42 lata. Ja byłem najstarszy w domu, więc wszystkie obowiązki spadły na mnie. Miałem tylko 16 lat. Był u nas w domu taki dziadek Malinowski, pomagał mi. Wszystko robiło się samemu.

Jak radził sobie Pan w tej trudnej sytuacji?

Cieężko było, ale człowiek musiał dawać radę. Robota ręczna była, konik pomagał, krowy się pasażo. Do garnka też czasem nie było co włożyć. To nie jak dziś, że się jedzenia tyle marnuje. Piło się dużo mleka, swój chleb i masło się miało. Garnek ziemniaków okraszonych tłuszczem, dzban maślanki i ... gotowe. W piwnicy zawsze beczka kapusty i ogórków stała. Mięso się jadło raz, może dwa w tygodniu. Nie to co dziś. Świnobicie to było ważne wydarzenie w gospodarstwie. Każdy gospodarz jedną, dwie maciorki miał, przy tym prosia-

ki. Świnie biło się dawniej raz, a jak większa rodzina, to dwa razy do roku. Ten zapas musiał na cały rok wystarczyć. Świniobicie często na półpostek wypadało (połowa Wielkiego Postu – red.). Gospodarz jeden drugiemu pomagał. Wesoło było. Rozprawione mięso do kopańki (podłużne naczynie wyżłobione w wałku drewna – red.) się wkładało – każdy wtedy obowiązkowo miał. Dłutem się ją dłubało w kłocu z topoli. Taki świniak cały do kopańki się mieścił. Soliło się go i tak 4-5 dni leżał, aż do wędzenia. Potem każdy robił wyroby po swojemu. Szynkę jak się zrobiło to różowiutka była, że och. Świnie dawniej, to nie to co dziś. Każdy ziemniakami karmił, pokrzywy dodawał, żadnej chemii nie pchał. Najsmaczniejsze były kielbasy palcówki. Wtedy nie było maszynek do mielenia. Mięso drobiło się taką specjalną siekaczką, zresztą każdy drobił tym czym miał. Mięso mieszało się ze słoniną, przyprawiało i do krowiego rogu. Bo dawniej z jednej strony róg od krowy się z ostrego końca obcinało, na to flak i mięso palcem do flaka się wpychało. Tak się kielbasę robiło. Stąd się i nazwa

„palcówka” wzięła. Teraz takiej nie znajdzie!

Zimą jechało się po drzewo do lasu. Na Ostęp (lasy przy carskiej drodze w pobliżu Twierdzy Osowiec – red.). Nie było wtedy mowy o pilarkach jak dziś. Wszystko się rąbało siekierką i piłą „moja-twoja”. Wszyscy pamiętamy śp. Czesia Cieślińskiego. Dobry chłop był. To był nasz leśniczy i zawsze nam drewno odbijał. Jak ktoś drzewo do budowy chciał to nie tak jak dziś, gotowe z tartaku. Wszystko ręcznie się tarło – to była robota. Dwóch stało i z góry do dołu ręcznie „moja-twoja” dyla się tarło.

A czy ciężko pracując mieliście czas na zabawę?

Obowiązkowo. Na potańcówkę musowo czas zawsze się znalazło. We wsi zawsze był jakiś grajek, a jak nie to z harmonią z drugiej wsi przychodził. Oj, na tych zabawach to nieraz ostro chłopcy się w bary brały. I ja kiedyś z Heńkiem Pisanko się wziął.

Czy i jak zmieniła się przyroda?

Oj, Panie! Dawniej jak się szło te łąki kosić albo krowy pod lasem pasą, to tego ptactwa masa była. Dziś gdzieś

to wszystko poginęło. Zające, kuropatwy – tego zawsze dużo było. Teraz, gdzie się podziało? Tej chemii więcej. Opryski przyszły i od razu mniej tego wszystkiego. Ojciec mój pszczoły hodował. Miał 30 pni. Zaraz przy domu sadek był i tam ule stały. Ile one pożytku dookoła nazbierały. A jaki miód był! Sam próbowałem po ojcu trochę się taką hodowlą zająć. Ale jak ojciec zmarł to i te pszczoły jakoś za nim poszły. Został mi tylko jeden pień. Teraz to i pszczoł nie ma. Wszystko te opryski, chemikalia. Jak ta przyroda ma się nie zmienić?

Nie zajmuje się już Pan ciągle gospodarką. Czy znalazł Pan jakieś zajęcie dla siebie?

Inaczej człowiek by zwariował. Zawsze jest coś do roboty. Lubię wypłatać koszyki. One w gospodarstwie potrzebne, a to na ziemniaki, a to warzywo przynieść. Samą konstrukcję z leszczyny robię lub z czeremchy, ale ona trochę śmierdzi. Potem wypłata się albo jałowcem albo zbieram takie witki z korzeni sosny. Kosze rozmaite się robi, z przykryciem i bez. Robię też miotły. Taką witką brzozową to aż miło podwór-

ko pozamiatać. A i w prezencie jednemu czy drugiemu się da.

Które czasy uważa Pan za lepsze, obecne czy minione?

Kiedyś inne wychowanie było. Więcej uprzejmości, a i karności. Żeby nauczyciel w szkole słowem nie mógł się odezwać, jak dziś, to nie do pomyslenia było. Jak nauczyciel słusznie zrugął, to w domu ojciec jeszcze poprawił. Dziś nie do pomyslenia. Dawniej kosa, grabie, nosiłki, a i kobiety w ciąży po kępach skakały. Teraz? Dziś życie lżejsze. Maszyny. Wszystko jest. Ale co z tego jak ludziom te „banery” (telewizory – red.) w głowach namieszały. Dawniej lepiej z ludźmi było. Ławki we wsi stały, jeden do drugiego chodził. Ogromna serdeczność była, wszystkim się dzielono. Dziś młode pokolenie „miękkie” do roboty. Nasza praca ciężka fizyczna nie była, ale to krzepiło. Trudne te nasze czasy były, jednak piękne były.

Jaką dałby Pan receptę na szczęśliwe życie?

Dawniej rodziny wielodzietne były i każdy z każdym musiał dobrze żyć. W życiu potrzeba otwartego serca i zgody.



W drodze na pastwisko

Fot. P. Tałalaj

*Robota ręczna była, konik pomagał,
krowy się pasażo.*





ZYGMUNT SKUBICH

Budne

rok urodzenia 1949

Zajęcie: rolnik,

wyplatanie koszy z wikliny

Czym się Pan zajmuje?

Całe życie gospodarzyłem, ale mam też inne zajęcie. W wikliny koszyki się robi, rozmaite skrzyneczki, kolebki. Jak Park nastał zacząłem robić. Dyrektor Jaros mnie namówił. Sam z siebie się nauczyłem tej roboty. Na początku robiłem takie byle co. Teraz już mam wprawę i jest duży wybór. Ludziom się to podoba i kupują. Jeżdżę na pokazy po szkołach, po hotelach. Do mnie też przyjeżdżają tutaj i pokazuję. Po targach

się wozi. Polubiłem tę robotę. Raniutko godzina trzecia, czwarta ja wstaję do roboty. Całymi dniami nieraz plotę te koszyki. Polubiłem to. Mógłbym dzień i noc to robić. Po materiał jeżdżę nad Kanał Rudzki. Na cały dzień traktorem jadę i po tych krzakach tą wiklinę wybieram, bo tylko mokra do roboty się nadaje, sucha niezdatna. Za jeden dzień to 500 - 600 sztuk utnę i na półtora miesiąca mam roboty.



Co za widok ...

Fot. GiT. Kłosowscy (arch. BbPN)

*Tutaj jak uzdrowisko. Na wiosnę ptaszki fajnie
śpiewają, to łosie chodzą, to lisy, to dziki.
(...) A w mieście co? Oszalałby z nudów.*



***Czy Biebrza bardziej wylewała
w przeszłości czy teraz?***

32 lata temu powódź była u nas. Woda hen wylała. Do domu łódką trzeba było pływać. Brakowało pięciu centymetrów i na podłogę woda by weszła. Pamiętam, mieliśmy wtedy świniaki takie po sto kilo. By je ratować to wzięliśmy je na łódkę, chcieliśmy przewieźć gdzieś wyżej. Na raz łódka się wywaliła, świniaki do wody. Odbijały się tak co kawałek od dna na górkę same powyskakiwały. Dawniej rzeka często wylewała, teraz mniej, ale pod budynki czasem woda przychodzi.

***Kiedy się lepiej żyło teraz
czy dawniej?***

Dawniej było ciężiej, gorzej. Trzeba było kosami kosić, grabiami grabić, stogi robić. Później woda

przyjdzie, łąka zamarznie. Sianami ciągało się to siano. Teraz dużo lepiej, bo maszyny są. I jak ten Park nastał, to trochę lepiej bo dadzą parę złoty zarobić – to przy odkrzaczaniu, to na tych targach (Targi Produktu Lokalnego „Sto pomysłów dla Biebrzy” organizowane przez Park – red.).

***Czy wyobraża Pan sobie życie
gdzie indziej niż nad Biebrzą?***

Nad Biebrzą dobrze się żyje. Ja nigdzie stąd bym się nie ruszył. Tutaj jak uzdrowisko. Na wiosnę ptaszki fajnie śpiewają, to łosie chodzą, to lisy, to dziki można napotkać. W mieście ja bym nie wytrzymał. Nie ma to jak na wiosce. Najlepsze życie jest i zajęcie jest. A co w mieście? Oszalałby z nudów.



JOANNA I HENRYK SOSNOWSCY

Goniądz

HENRYK SOSNOWSKI

rok urodzenia 1929

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa,
krawiectwo, kuśnierstwo

Jak wyglądało Pana dzieciństwo?

Dzieciństwo wyglądało fatalnie. Mając dwa lata straciłem ojca, a byłem najmłodszy. Z dzieciństwa pamiętam jak graliśmy w pikola. Tyczkę się stawiało pionowo i potem kijami się w nią rzucało. Kto trafił, ten wygrał. Latem do rzeki kąpać się chodziło. Na ryby to mieliśmy kłobuk i w trzech z kolegami się chodziło. Po godzinie nałapaliśmy każdy po wiadrze ryb. Pi-



*Dawniej w Goniądzu było może 10 krawców,
czterech czapników i każdy żył.*



skorze, okonie, szczupaki.... Ryb było w brud. Pamiętam, w Dawidowiźnie rybacy łowili trzema niewodami. Żyli z tych ryb, a teraz nie ma nic. Na gospodarce wszystko ręcznie się robiło. Za rzeką też miałem łąki. By do nich dotrzeć trzeba było przepłynąć za rzekę. Stogi się tam robiło, a w zimę się je zwoziło. Po drzewo też się jeździło ze rzeką, ale przeważnie po krzewinę, bo tam lasu gajowy Sokołowski pilnował i dużych drzew nie pozwalał z lasu brać.

Jak dawniej wyglądała targowica?

Na targowicy konie i krowy sprzedawali. Z całej okolicy się zjeżdżali się na targ. Rozmaitości można było sprzedać i kupić.

Ilu było krawców w Goniądzu?

Dawniej w Goniądzu było może 10. krawców, czterech czapników i każdy żył. Jak się uczyłem szycia to żeśmy szyli w Arteli (dawny Zakład

krawiecki w Goniądzu – red.). Każdy klient przynosił swój materiał i się szyło. Szyło się maszynami, kozuchy to ręcznie szyliśmy. Czapki też się szyło u Kamińszczaka, damskie, męskie, z lisów się robiło. A z wydry kołnierz to tylko dwóch w mieście miało: Kulik i Prekop. Za krowę wtedy nie kupił wydry, taka droga była. Szyło się na zamówienie.

A jak wówczas zabawy wyglądały?

Dawniej lepsza muzyka była, teraz muzykanci tych dawniejszych nie zagrają. Polki, oberki. Najwięcej zabaw było tam, gdzie była szkoła.

A przyroda jak wyglądała?

Biebrza to wylewała pod samą Wólkę. Ptaków było więcej, teraz ptaków nie ma, bo nie chodzą krowy za Biebrzą. Czajki jak były za Biebrzą i krowy chodziły, to ja tyczkę wsadzałem przy gnieździe, aby krowy nie zniszczyły. Krowy za Biebrzę przez rzekę

szły wpław i tam pastuch paś, kolejka była. Jeden pastuch miał około 40 krów i miał jeszcze pomocnika. Kro-

wy codziennie szły i wracały i na miejscu się doiło. Były działy i w tych działach po kilku tam paśło.

*Na ryby mieliśmy kłobuk. Po godzinie natapaliśmy
każdy po wiadrze. Piskorze, okonie, szczupaki....*

Ryb było w brud.



Joanna Sosnowska

lata młodości spędziła

w Wólce Piasecznej

rok urodzenia 1936

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa,

praca w zakładzie produkcji lalek

Zechce Pani się podzielić swoimi najwcześniejszymi wspomnieniami?

Moje młode lata były ciężkie. Rodzice posiadali 44 hektary gospodarstwa, więc od najmłodszych lat pasłam najpierw gęsi, później krowy. Do szkoły chodziliśmy do Gościńca i tutaj u pierwszej komu-



nii byłam. Dochodziliśmy pieszo do rzeki, a przez rzekę przewoził nas

*(...) rzeka cały czas wylewała. Jak się wyszło
wieczorem to ten rechot żab jak muzyka, a na ranku
ptaszki śpiewały. Pięknie było.*



Roszczewski Felek. Jak były roztopy, to przez ten okres byliśmy na stacji w Goniądzu, a później jak było można wozić łódką, to z powrotem mieszkaliśmy w Wólce i codziennie stąd do szkoły chodziliśmy. Nad rzeką stał też duży prom, który woził fury z sianem.

Miałam 7 lat kiedy wybuchła wojna, a u nas front stanął. Z naszej strony byli Niemcy, w Goniądzu byli Ruskie dlatego nas bez przerwy bombardowali. Kiedyś z mamą wróciłam do domu z lasu, bo tam żeśmy się skrywali. Nagle, w tej samej sekundzie jak weszliśmy do domu bomba rąbnęła w budynek i wszystko zaczęło się palić. Brat zginął mając 20 lat. Potem Niemcy zabrali dobytek, 12 krów dojnych, 2 jałowice, 4 konie, to była tragedia. Potem przebywaliśmy w lesie do listopada. Mieliśmy tam takie budy porobione, aby

było gdzie głowę skłonić. Z lasu dalej dotarliśmy do Ciemnoszyj i tam mieszkaliśmy. Stąd Niemcy nas zagнали do takiego wielkiego okopu, który był obstawiony przez żandarmerię z karabinami maszynowymi, ale po jakimś czasie kazali nam wyjść i wrócić do domów. Stamtąd nas do Grajewa zapędzili, a później z Grajewa każdy musiał uchodzić w swoją stronę, do rodziny czy znajomych. Szczęśliwie myśmy mieli w okolicy rodzinę, u której przebywaliśmy aż do kwietnia. Po tym czasie wróciliśmy już na swoje do Wólki, ale tu nic nie zostało, wszystko było zniszczone. Zamieszkaliśmy w miejscu, w którym Niemcy mieli swój bunkier, tak by przetrwać najgorsze, największą biedę. Choć ziemia dookoła leżała to nie dawała jeść, bo na niej trzeba było pracować, ale nie było czym, wszystko zostało zniszczone.



Rozlewiska w okolicach Burzyna

Fot. P. Tałataj

*Wszystko mieliśmy z gospodarki.
Mama piekła swój chleb.
Mąkę mielito się w Goniądzu (...)*



***Pomagala Pani zapewne przy
pracach w gospodarstwie. Jak one
wyglądały?***

Pierwsze sianokosy po 24 czerwca się robiło, tylko jeden pokos. U nas kosiło siedmiu kośników, a siano zbierało się samemu grabiami. Nasze łąki były dzikie. Stogów stawialiśmy to pięć, to siedem na jednej łące. Łąki mieliśmy blisko, naokoło gospodarstwa.

Wszystko mieliśmy z gospodarki. Mama piekła swój chleb. Mąkę mielito się w Goniądzu, naprzeciwnieko Jabłońskich młyn miał Lotkowski.

A Pani lata powojenne?

Po wojnie, jak człowiek trochę odśapnął, to te życie było przyjemne, wesołe, młodemu zawsze wesoło. I pięknie dokoła, rzeka cały czas wylewała. Jak się wyszło wie-

czorem to ten rechot żab jak muzyka, a na ranku ptaszki śpiewały. Pięknie było.

W niedzielę kościółek, a potem się zbieraliśmy jako młodzież i zabawa – od domu do domu. Młodzieży było dużo.

Potem, jak byłam mężatką, to zaczęłam pracę przy produkcji lalek w Goniądzu. 16 lat tam pracowałam. Ja szyłam lalkom korpusy, inni wypychali – np. buzia wypychana była trocinami. Produkowaliśmy kilka rodzajów lalek, a później miśki. Kiedy zaczęło się gorzej robić i lalki się nie sprzedawały, to robiliśmy buty. Jedni cholewki szyli, drudzy podeszwy.



ANTONI WYSOCKI

Goniądz

rok urodzenia 1930

Zajęcie: rolnik, miłośnik koni

Jak wyglądało życie rolnika po wojnie?

Jak po wyzwoleniu, po froncie to człowiek się łapał aby ze dwie krówki i jakiegoś konika i płózek mały i ten rolnik popycha i zadowolony, że ma cos posiać, zboża trochę. Inny lepszy trochę rolnik to już miał dwa konie, był zadowolony sobie orze, papierosika zapali, a jak miał już trzy konie to się nazywał już mająteczek i „dwuskibowcem” na kółkach orze fajnie. Później powolutku, na taki Goniądz, to dwa rowery jak było po wojnie to dobrze. Konie to zawsze

chowałem, tak się robiło aby dobrze było i każdy się stara. Kiedyś to posieje, sierpem skosi później tym cepelem wymłóci. Dziesiątki znosili, a jak dwanaście snopki, to nazywali wentyli, a na sierp nazywali dziadek garbaty całe pole oblatał. A teraz mechanizacja. Kiedyś to jak mąki namiele, to w dzieży okrągłej ojciec albo matula rękawy zakasuje i miesi, na noc zakwaska z piekarni weźmie. A dziś młoda co ona chleb będzie miesić, jak ona ma paznokietki czerwone, a u nóg niebieskie, się nie opłaci. Teraz te banerki telewi-

zory, komputery, a kiedyś jak motor człowiek doczekał, pastwisko daleko pod Osowcem, to zadowolenie. Teraz mechanizacja, wcale dobrze, ale za to nie chcą robić. Dobrze jak pójdą do szkoły się uczyć, ale kto będzie robić? A ziemia to matka, Ojciec Święty jak przyjeżdżał do kraju, to ją całował.

A Pan jest przywiązany do swojej ziemi?

Mnie krzyczą, abym nie pracował, nie robił, ale jak by ja wytrzymał, człowiek by zwariował. Wszyscy dobrze dziś mają, żyć a nie umierać, a dziadki to nauczone cały wiek robić.

Mógłby Pan to miejsce sprzedać?

A gdzie, jak to. Jak człowiek umrze, to jak chcą niech robią. Młodzi inaczej rządzą, starzy inaczej. Wyjdiesz, koniki chodzą, się popatrzysz.

Jak kiedyś wyglądały wiejskie rozrywki?

To kiedyś ławków wszędzie było: i na podwórzu, i na ulicy, i się schodzą, gadają.

Proszę powiedzieć o Pana zamiłowaniu do koni?

U nas zawsze w stajni stało od 3 do 8 koni. Kupować to mało kupowałem. Zdarzało się, że czasem w Goniądzu albo w Suchowoli. Raz pamiętam kupiłem w Giżycku takiego narowistego ogiera. Mało mnie nie zabił. Niech Bóg broni od takiego konia. W domu była kobyłka to się swoje konie miało i na miejscu sprzedawało. Miałem jednego wyjątkowego ogiera, taki Kasztan. Wszędzie nim wjechałem, błoto nie błoto. Dobrze było ułożony. Razem z nim w parze chodził Gniady, też dobry koń był. Dawniej dobrym koniem w parze to nawet hektar pola człowiek zorał dziennie, ale zajmowało to dużo czasu.

Dawniej koń miał wartość. Za dobrego konia można było nawet hektar ziemi kupić. Dziś dobry koń kosztuje pięć tysięcy, a ziemia jest dużo droższa. Konie podkuwało się na miejscu, w Goniądzu na Nowym Świecie, u Bujnowskiego.

Czym byłoby moje życie bez koni. Zamiłowanie do koni przekazałem wnukom. I się cieszę, bo chłopcy dobrze sobie radzą.



Antoni Wysocki z fartuchem do siania zboża

Fot. A. Wiatr

*Mnie krzyczą, abym nie robił, ale jak by wytrzymał?
(...) My dziadki to nauczone cały wiek robić.*





JADWIGA ZIENKIEWICZ

Stójka (bardzo mała wieś położona

w basenie południowym Biebrzy,

przy carskiej drodze).

rok urodzenia 1927

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa

Jak wyglądało Pani dzieciństwo?

Urodziłam się tutaj, na Stójce. Dzieciństwo było szczęśliwe. Przed wojną siedem domów tu stało. I dzieci było w każdym domu po czworo. Nie było zabawek, ale z byle kijkiem się biegało i było dobrze. Do szkoły chodziliśmy do Trzciannego na piechotę. W jedną stronę mieliśmy siedem kilometrów i nikt nie narzekał. Skończyłam tylko pięć klas, bo zaczęła się wojna. Wojna to był ciężki czas. Najpierw przyszli sowici i ja-

koś tam było. Kiedy przyszli Niemcy to mamę zabrali w 1942 r. jesienią, a ojca zabrali w 1943 r. Najpierw tatę do Białegostoku, a później do Gdańska zabrali, do obozu. Tam zginął. Kiedy mama wróciła z wywózki to tu, na Stójce nie było nic. Wszystko od początku trzeba było zaczynać. Z Gugien od Wilczewskich taką małą, 4 metry na 6, drewnianą chatkę odkupiliśmy bo oni już postawili nowy dom. Przenieśliśmy ją tutaj, jeszcze sama ją sło-

*Wybrać się do sklepu to był wyjątek,
czasami tylko, po sól.*



mą pokrywałam. Potem ciężką pracą pomału do wszystkiego się dochodziło. Sama musiałam orać, zasiewać. Robiłam też swetry na drutach. Za zarobiony grosz kupiłam owieczkę. Później prosiaczki wychowałam i kupiliśmy krowę. A jak już była krowa to i mleko, sery. Później, jak już było więcej to mleko do Nowej Wsi woziliśmy. Dawniej wszystko się swoje miało. Twarogu się narobiło. Najwięcej mlecznych potraw się jadło. Wybrać się do sklepu to był wyjątek, czasami tylko, po sól. Jak już trochę grosza nazbierało się, to kupiliśmy konia. I tak pomału się dorabialiśmy. Wtedy nikt nie narzekał.

Jak wyglądaly sianokosy?

Ja nawet kosić umiem. Chłopi kosami szli, po kilku. Siano na łące nosiło się na takich drągach. Z przodu więcej się kładło, bo pierwszy drogę widział. Z tyłu

mniej, bo się nic nie widziało. Zazwyczaj chodziło się jedną ścieżką, aby łąk nie rozdeptywać. A dzisiaj? Błoto takie, wszystko zniszczą. Ci co przyjeżdżali z daleka na łąki, to u nas nocowali. My łąki mieliśmy blisko.

Przy okazji sianowania jagody się zbierało. Raz mamę żmija ugryzła w palec. Nim przyszedliśmy do domu to już jad się rozszedł. Kiedyś mówili, że na ukąszenie żmii trzeba nałapać żab i w kwaśne mleko wrzucić. Potem rękę wsadzić w ten roztwór i podobno ten jad wysie. Nie pomogło. Nie pomógł też doktor, powiedział, że już leczyć nie będzie bo ręka sina. Szczęśliwie trafiła do nas taka żebrząca kobieta, którą wcześniej już spotykaliśmy. Przykazała nam, by nazbierać powoju, naparzyć w garnku, wymoczyć ścierkę i tym rękę owinąć. Drugiego dnia od razu

*Do szkoły chodziliśmy do Trzciannego na piechotę.
W jedną stronę siedem kilometrów
i nikt nie narzekał. (...)*



pomogło i ręka stawiała się mniej sina. Tak uratowała mamę.

Czy chodziła Pani pasać krowy ?

Oczywiście. Krowy wyganiało się około czwartej rano. Tutaj, za szosę się ganiało. Zawsze cała wieś wyganiała. Jaka to była uciecha, bo wszyscy się zbierali, żartowali.

Gdzie Pani poznała męża?

Ja szłam do kościoła. Dogonił mnie, zaczął rozmawiać. Był z Zubola. I tak zaczęliśmy się spotykać. Potem on pomógł nam dekować słomę do pokrycia stodółki. I tak się zostało. On był bardzo porządnym człowiekiem.

Jak wyglądaly wiejskie zabawy?

Nawet tu, na Stójce robiliśmy zabawy. Przychodził grajek z Szorc, grał na harmoszcze. Wszyscy się zbierali, wesoło było. Na Gugny

też się chodziło. Potem oni do nas przychodzili.

Jak zmieniła się przyroda?

Teraz łąki zarastają. Kiedyś tyle ptaków było, teraz to połowy tego nie ma. A słowików ile było. Na ryby chodzić do Biebrzy nie trzeba było. Tutaj był taki rów i w nim tyle ryb było. Dzisiaj ni jednej.

A ludzie?

Teraz to jeden drugiego aby oszukać. Kiedyś nie było tego. Ludzie byli bardziej uczciwi. Dzisiaj więcej lenistwa, a pracować przecież trzeba.

Jaką by Pani dała receptę na szczęśliwe życie?

Pracować. Nie narzekać. Czymkolwiek się zająć, aby nie myśleć o biedzie.



Wiejska zagroda

Fot. P. Tałaj



STEFANIA ŻURAWSKA

Nowy Lipsk

rok urodzenia 1926

Zajęcie: prowadzenie gospodarstwa,

zbieranie ziół

Proszę opowiedzieć o czasach Pani młodości?

Urodziłam się w Lipsku. Wtedy to były ciężkie czasy. Chleb był na wagę złota, nie było tyle ile by się chciało. W Niemczech, w niewoli, w niedostatkach żyliśmy. Jak przypominę sobie ile tego wszystkiego się przeżyło, nie do opowiedzenia.

Później dostaliśmy w okolicach Nowego Lipska 10 hektarów pola. Było ono jednak zakrzewione, rosły jałowce i inne krzaki. Wykarczowanie hekta-

ra pola kosztowało dużo pracy. Pierwszy rok trudno było nam tutaj przeżyć. Nic nie było zasiane, tylko trzeba było to wszystko karczować i karczować. Z czasem po trochu powiększało się zasiewy. Ciężkie to były lata, ale żeśmy jakoś radę dawali. Nie poddawaliśmy się, byliśmy twardzi jak ten orzech. Później żyliśmy jako tako. W każdym gospodarstwie była wielodzietna rodzina, 8 - 10 ludzi. Trudno mówić więc o luksusach. Nie było proszku do prania i mydło trudno było

*Tyle było tej żurawiny. Zajdzie się na bagno
i na tych kępach tyle było, że można było garściami
garnąć te żurawiny.*



kupić. Dlatego do mycia i prania używało się popiołu. By nie był z grudami to przesiewaliśmy go przez takie małe siteczko i tego się używało.

A ubranie? Każdy wszystko miał swojej roboty. Płótno tkane, wełny nie wełny, wszystko z pracy swoich rąk. Mama zawsze zimą tkala na krosnach.

Dawniej brak było wszystkiego, ciężko się żyło, ale ludzie potrafili przeżyć bez pieniędzy. Jak się chciało coś kupić, to najpierw trzeba było lnu wytrzeć, sprzedać i za to się kupowało.

Czy można było zarabiać w lesie czy na bagnach?

Na bagnach można było zarobić na zbieraniu żurawiny. Tyle było tej żurawiny. Zajdzie się na bagno i na tych kępach tyle było, że można było garściami garnąć te żurawiny. Ja zbierałam do worka. Po zbiorze ześmy te żurawiny wozili z mężem do skupu. Kilogram żurawin wart był tyle, ile buł-

ka chleba (bochenek – red.). Ponieważ żurawin było dużo, to któregoś razu pół tony zawieźliśmy.

Jak Pani wspomina sianokosy?

Sianokosy to było trudne chłopskie zajęcie. Ale i kobiety się starały. Każda chciała, by mąż czy syn miał piękną, białą, płócienną koszulę. I wyglądali na bagnach jak ogrom białych gęsi, wszystko bieleło. Zaś kobiety sobie szyły podomki z płótna i na bagno szły pięknie ubrane. Nie tak byle jak. Zawsze były zadbane.

Czasy dawniejsze a może obecne – które Pani lepiej wspomina?

Żeby ten dawny świat się wrócił, to byłoby ślicznie. To był uroczy świat. Tutaj było pięknie. Wszędzie dużo domów, dużo ludzi. Widnokrąg był piękny, nie zarośnięty. Teraz to w buszu mieszkamy, wszędzie krzewy, ob-

*Dawniej brak było wszystkiego, ciężko się żyło,
ale ludzie potrafili przeżyć bez pieniądza.
Jak się chciało coś kupić, to najpierw
trzeba było lnu wytrzeć,
sprzedać i za to się kupowało.*



rośnięto wszystko. A kiedyś? Pociąg jedzie, widać go było. W Szuszałewie jakie krowy chodziły, też widać było. Było ślicznie. Dawniej jedność była u ludzi. Teraz jest inaczej. Dzisiaj można się uczyć, a u nas była ciężka praca.

Czy dziś wybrałaby się Pani na spacer po bagnach?

Dziś, gdyby te kępy na bagnie nie były tak duże, to bym jeszcze poszła się przejść, pospacerować, popatrzeć. Bo wspomnienia z bagnami są piękne. Po przejściu na rentę ja jeszcze 15 lat pracowałam na bagnie, a mąż w lesie. Ja lasu nie lubiłam. Bagna uwielbiałam i uwielbiam zioła. Takiej ilości ziół jak

dawniej już teraz nie ma. Zbierałam zioła kobiece np. poderwanie i dużo innych np. stanownik, (cykoria podróżnik – red.) – to takie ziołko na przemęczenie czy ból brzucha. Teraz tych ziół nie ma, wszystko wyginęło. Środowisko zatrute i my wszyscy też zatruci jesteśmy. Popatrzeć ile tych traktorów, samochodów, a spaliny my pochłaniamy do siebie.

Jaką dałaby Pani receptę na szczęśliwe życie?

W życiu trzeba zawsze mieć nadzieję i nie poddawać się. Ja nigdy nie narzekałam, chociaż było ciężko i trudno. Ja to już wszystko przeżyłam i mnie już nic nie bierze.



Torfowiska w okolicach Nowego Lipska

Fot. P. Tataaj

Ich Biebrza





TOMASZ KŁOSOWSKI

Nowa Wieś

rok urodzenia 1949

Dziennikarz, fotograf przyrody. Od ponad 40 lat przemierza dolinę Biebrzy z aparatem fotograficznym. Współautor licznych książek i albumów przyrodniczych, w tym o dolinie Biebrzy jak np. Ptaki Biebrzańskich Bagien, Biebrza Ptasi Raj.

Współtwórca telewizyjnej serii „Dzika Polska”. Orędownik ochrony przyrody.

Jak to się stało, że trafił Pan nad Biebrzę?

Dlatego, że nigdzie indziej nie mogliśmy (wraz z bratem Stanisławem i Grzegorzem – red.) znaleźć bagien. Przez pewien czas obsesyjnie szukałem terenów podmokłych przeglądając mapy i na niebiesko zakreskowanych miejsc. W które bym potem nie pojechał okazywało się, że tam są rowy, krowy, żwirówki. Pamiętam, jak w dzień mojej matrykulacji dostaw-

szy się na studia, zamiast na uczelnię pojechałem na tzw. Bagno Pulwy koła Wyszkowa. Tak obiecująco wyglądało ono na mapie, teren przylegał do lasu. Myślę sobie to będzie to. Zajechałem, patrzę, a tu rowy. Chole-
ra! Już nie ma bagien - pomyślałem. Jednak nie ustąpiłem i dalej wertowałem mapy. Zaczęła mnie ekscytować nazwa Bagno Ławki. Wówczas z Biebrzańskich Bagien najbardziej znane było Czerwone Bagno, bo tam



Uszatka błotna (sowa błotna) - ulubienica braci Kłosowskich

Fot. GiT. Kłosowscy (arch. BbPN)

był rezerwat. O Bagnie Ławki nie było ani słowa. Może to jest poligon. Na mapie nie było w okolicy żadnej wioski, tylko jedna mała kropeczka o śmiesznej nazwie – Gugny. I droga przecinająca bagna na wskroś – okazało się, że to Honczarowska Grobla. Zafascynowało mnie to odkrycie. Potem znalazłem w pewnym opowiadaniu myśliwskim taki opis Bagna Ławki: „to spory szmat łąk, błot ograniczony od zachodu Biebrzą, od południa Narwią, o od wschodu szosą Strękowa Góra – Osowiec, prawie zupełnie nie zamieszkały przez ludzi. Kraj ten można nazwać jedy- nym swego rodzaju krajem dzikiego zwierza. Czarne bociany i żurawie przechadzają się po śródleśnych łą- kach, ciąg słońce jest obfity nad po- dziw ...” ten cytat znałem na pamięć. Zapragnąłem tu przyjechać. Wów- czas jednak nie było to takie ła- twe. Byliśmy skromnie żyjącą rodzi- ną, nie mieliśmy grosza. Wyjazd tu- taj to prawie jak wyjazd na księżyc. Ostatecznym zapłonem był arty- kuł Ewalda Ranoszka w „Przyrodzie Polskiej”, wtedy bardzo skromnej, w którym opisywał swoją wyciecz- kę towarzyszącą badaniom ornitolo-

gicznym prowadzonym nad Biebrzą. Wtedy nie wytrzymałem i mówię do braci: jedziemy! Grzegorz nie mógł, ale Stasiek wybrał się ze mną.

Jakaż to była jazda z Warszawy! Je- chaliśmy w przyczepie PKS-u. Szosa z Wyszkowa na Ostrów Mazo- wiecką była tak wąska, jak dzisiej- sza z Trzciannego do Moniek i wy- łożona kostką. Jechaliśmy, jechali- śmy... Wreszcie po dwóch przesiad- kach dotarliśmy do Strękowej Góry. Wzięliśmy plecaki, namioty i w dro- gę. Doszliśmy do Narwi i to, co zo- baczyliśmy było przerażające: kopar- ki, ciągniki, turzycowiska pocięte ro- wami, kupy ziemi z urobku. To była melioracja Narwi. Myślę sobie, to już koniec. To był straszny widok. By- łem wstrząśnięty. Nie tego oczeki- waliśmy. Poszliśmy dalej, doszliśmy za Laskowiec i napotkaliśmy chłopą, który gnał krowy i on do nas: *Pa- nie, idź Pan za ten rów, tam Panie ba- gno. Tam pełno łosiów, dzików.* Ru- szyliśmy. Idziemy, idziemy mijając laskowieckie olsy, docierając do *dom- ku dróżnika*. Zatrzymaliśmy się za- raz za nim przy kanale. Wtedy zdę- białem. Widok, który zobaczyliśmy był urzekający (wtedy jeszcze nie

było tylu drzew i krzaków co teraz). Otwarta, ogromna przestrzeń po horyzont! Założyliśmy biwak przy Koszarce. Namiot nam przeciekał, smarowaliśmy go masłem licząc, że trochę poprawimy jego stan. Stamtąd ruszaliśmy na wyprawę. Pamiętam pierwszy wieczór: usłyszałem pierwsze w życiu bekasy. Ale to było przeżycie. Spełniały się moje marzenia odkrywania tajemnic blisko ukrytych. Nie w Afryce, ale tu. Nagle to wszystko było u naszych stóp. Ten pierwszy, niezapomniany pobyt trwał trzy dni. Był to rok 1972. Tak się zaczęła trwająca do dziś przygoda z Biebrzą.

Jest jeszcze jeden wątek, który odkryliśmy z Grzegorzem trochę później. Mianowicie nasza babcia (matka ojca) nazywała się Supińska i pochodziła z Łomży. A tu Supińskich jak psów. Choć nigdy potem nie mieszkała w Łomży, studiowała w Paryżu na Sorbonie i osiedliła się w Warszawie, może bagna mamy zapisanie w genach i to jest wyjaśnienie dlaczego nas do bagien ciągnie, a okolica wydaje się nam swojska. My też jesteśmy Supińskie, Pannie (uśmiech – red.).

Co było potem?

Na kolejny pobyt wybrałem się po roku z Grzegorzem. To było już bardziej na poważnie. Zabraliśmy aparaty. Chcieliśmy robić zdjęcia i spełnić kolejne marzenie tj. znaleźć żurawie i sfotografować kulika wielkiego. Puchalski tak pięknie opisywał swoje podchody do niego. Zatrzymaliśmy się ponownie na Koszarce. Tym razem babka przyjęła nas na mieszkanie, choć też nie od razu. Musieliśmy się oswajać. Poszliśmy szukać kulika na bagno. Jak się stało na carskiej, to w dzień nie było specjalnie widać dużo ptaków. Dopiero jak się weszło zaczynał się rwetes. To były tereny jeszcze wykaszane. Nagle podrywają się rycyki, jeden zgiełk, jeden wrzask. Przez przypadek znaleźliśmy gniazdo, w nim cztery jajka. Chodzimy dalej, a kulika nie ma. Po paru godzinach przekonałem się, co to jest chodzenie po bagnach. Kępa na kępie. Wokół pełno wody, a w gębie sucho. Wracaliśmy już z powrotem. Byliśmy już bardzo blisko szosy. Weszliśmy w taki lekko zadrzewiony skrawek. Nagle zrywa się ptaszysko. Widzę długi dziób, leci nisko, powolnie. O rany. To musi być kulik.

Pewnie wystartował gdzieś z gniazda. Podszedłem kilka kolejnych metrów. W kępie mechowiskowej, pięknie wysłanej, są cztery jajka. Takie odkrycia uważałem za wielkie skarby – tyle o tym przecież czytałem. Tyle czasu chodziliśmy, a tu gniazdo przy samej drodze. Potem znaleźliśmy jeszcze kilka, też w sąsiedztwie samej drogi. Tak powstały pierwsze zdjęcia kulek. Nie spodziewałem się, że przez tydzień uda się nam zrobić tyle zdjęć. Miejsce było tak zasobne, tak dzikie! Wtedy spotkaliśmy też pierwszego łosia. Było ich wówczas dużo mniej. Bobrów nie było prawie wcale. Nie to co dzisiaj: kompletna rebelia. Poznaliśmy też śp. Stefańskiego i jeszcze paru chłopów. Niestety nie znaleźliśmy żurawi. Trafiliśmy na nie dopiero po siedmiu latach, i to w innym miejscu. Ten pobyt to była zupełna fascynacja. Bagna niczym z opisów Puchalskiego.

Czy te pierwsze pobyty nad Biebrzą, dla Was chłopaków z miasta, były dużym zdarzeniem?

Bardzo. Generalnie nie lubię podróżować. Ale wtedy namiętnie wyciągałem chłopaków na wypad w poszukiwaniu bagien z opisów Puchalskie-

go. Gdzie byśmy nie pojechali wcześniej, to spotykało nas rozczarowanie. Rowy, zręby. Ja nie rozumiałem gospodarki leśnej. Wydawało mi się, że las rośnie po to by być pięknym lasem. Spotkanie z Bagnami Biebrzańskimi było dla nas rewelacją. Zrozumiałem, że takiego krajobrazu, takiego miejsca jeszcze nie widziałem. Naprawdę dzikie miejsce, nikomu nie przypisane. Pobyty na bagnach były prawdziwą rozkoszą. Przyjeżdżając nad Biebrzę budziliśmy zdziwienie. Już chyba po dwóch latach miejscowi nazywali nas „ptaszuki”. Byliśmy dziwnymi postaciami. Nie to co dzisiaj. Zza każdego krzaka obiektyw wystaje. Jakie to było piękne, jak przez cały dzień carską nie przejechał ani jeden samochód.

A pierwsze spotkania z ludźmi znad Biebrzy?

Skwapliwie unikaliśmy spotkań z ludźmi. Pierwszą bliżej poznaną osobą była babka Supińska, która przyjęła nas na Koszarce. Najpierw w chlewku, dopiero później doznaliśmy zaszczytu zamieszkania w chacie. Robiła nam potem słynne zupy



Kulik wielki

Fot. GiT. Kłosowscy (arch. BbPN)

szczawiowe. Częstoując nas ciągle powtarzała: *Syp se dzieciaku, syp se.*

Kolejną osobą był niejaki Pan Dyra, miejscowy myśliwy. Z nim się trochę zaprzyjaźniliśmy. Bajał o zwierzętach niesamowicie. A to o jastrzębiach łapanych w ręce, a to o pisklakach bekasów...

Co jakiś czas jechaliśmy z Koszarki do wsi po jajka. Wówczas często od gospodyń się słyszało: *A tam, z tymi żurawiami. Przyjechalibyście do wsi na kawalerkę.* A inna dodawała: *Jeszcze i po mordzie by dostał.* Mówię: *Dobrze, przyjadę.* Ponieważ na tę kawalerkę rzadko jeździliśmy, to babcia Supińska wpadała czasem na przewrotne pomysły. Jak przychodziła niedziela, to później wychodziliśmy w teren. Robimy sobie śniadanie, a tu słysząc szum. Wchodzi pięć, sześć panien ze wsi. One były takie śmiałe, odważne. My dzikusy. Jak się rozmowa nie kleiła, to babcia wkraczała i próbowała rozruszać atmosferę. Zwykle nic z tego nie wychodziło i uciekaliśmy z aparatami do lasu przez dziurę w płocie.

Szczególną więź z miejscowymi nawiązaliśmy przez Laskowiec dzięki Mistrzostwom Świata w Piłce Noż-

nej w 1974 r. Grała wówczas w nich reprezentacja Polski i tych meczów nie mogliśmy opuścić. Zjawialiśmy się wtedy w Laskowcu i zapraszaliśmy się do jednego z dwóch czy trzech dostępnych we wsi telewizorów m.in. do Supińskich (syn naszej babci z Koszarki). Po meczu obowiązkowo była gościnka: *Idzie, idzie, posmakuj.* Tu piliśmy pierwszy w życiu bimbler. Było to niestety zgubne. Wracając z powrotem na rowerach do Koszarki, a było to już nocą, oglądałam się, a Staśka, naszego brata nie ma. Okazało się, że tak skosił zakręt, iż wylądował w rowie i pobił wszystkie zakupione wcześniej jajka.

W czasie naszej tu bytności mieliśmy jeszcze ważny epizod z mieszkaniem na Stójce u Dąbrowskich i na Gugnach – u babci Marysi Wejdy, gdzie spędziliśmy 25 lat. W obu miejscach przeżyliśmy wiele różnych przygód. Dziś wreszcie osiedliśmy na stałe w Nowej Wsi.

***Spośród tysięcy zrobionych zdjęć
i spotkań z dziką przyrodą pamięta
Pan jakiegóż jedyne, wyjątkowe?***

Nie ma tego jednego. Każde było wyjątkowe. Choć do jednych z bar-

dziej szczególnych należało fotografowanie sowy błotnej. Cały dzień stałem przy gnieździe i robiłem jej zdjęcia na stojąco. Tylko z takiej pozycji był dobry wgląd w gniazdo. Miałem wtedy Pentacon 6, z 300 mm obiektywem, duży format. Trzeba było blisko podejść do gniazda. Nie to co dzisiaj. Ludzie przyjeżdżają z obiektywem 1000 mm, wkręcają konwerter, wszystko jasne i szpanują. Wtedy zrobić zdjęcie to była sztuka. Za pierwszym razem Grzesiek odprowadził mnie do chatowni. Gniazdo było położone w pobliżu paproci, teren świeżo zarastający. Grzesiek poszedł i za 9 godzin miał wrócić po mnie. Czekam na sowę. Wreszcie przyleciała, ale lekko zawiało i wtedy jeden z liści paproci niemalże całkowicie przesłonił obraz. Nie było szansy na zdjęcie. Stałem tak jak kółek przez dziewięć godzin. Jakies tam zdjęcia udało się zrobić, ale szkoda było ryzykować. Na sezon mieliśmy raptem 5 filmów wielkoobrazkowych, każdy po 12 klatek. Nigdzie nie można było tego kupić. Od fotoreporterów ze „Świata Młodych” wycygańłem. Po wszystkim głodny wróciłem do domu. Gospodarz aku-

rat ubił cielaka i na gościnę nas zaprosił. Była cielęcina i anyżówka. Następnego dnia długo na carskiej odpoczywaliśmy patrząc na wyjątkowo niebieskie niebo.

Sowa błotna była naszym największym ptasim sukcesem fotograficznym w tamtym czasie. Ona podtrzymała album „Ptaki Biebrzańskich Bagien”. Bez jej zdjęć ten album by w ogóle nie powstał. Bardzo trudno było znaleźć gniazdo. Kiedyś w tzw. roku „sowim” znaleźliśmy trzy gniazda. Pamiętam spędziłem wtedy przy nich swój cały urlop, pracowałem jeszcze w „Świecie Młodych”. Dzień w dzień siedziałem wtedy przy gniazdach. Dziś nie robi się zdjęć przy gniazdach. Jedna z tych sów nas atakowała przy podchodzeniu do gniazda szarżując szponami w kapelusz Grzegorza. Fotografowanie jej Pentaconem było naprawdę trudne. Był ciężki, ustawienie ostrości wymagało dużej wprawy. Tego się nie da porównać do dzisiejszego sprzętu. Z całego mojego urlopu powstał fotoreportaż, który zamieściliśmy w albumie „Ptaki Biebrzańskich Bagien”. Była to prawdziwa ozdoba tej książki. Przy fotografowaniu ptaków zdarza-

ły się nam różne inne przygody. Nasze ukrycia były w formie ostrosłupa przykrywane naturalnym materiałem, trzcina, gałęziami, trawą. Zwierzęta traktowały je jak pałniki. Kiedyś siedząc w jednym z nich próbowałem sfotografować kulika, ale ptak to przylatywał to odlatywał. Wreszcie nadszedł moment, kiedy Grzegorz miał przyjść i mnie odebrać. Słyszę, idzie: chlup, chlup, chlup. Ale jakieś dziwne było to chlup i nie z tej strony. Wychyłam się, patrzę, a tu wielki cień łosia, który zbliża się do czatowni. Odruchowo chwyciłem aparat, ale nie po to by zrobić zdjęcie, a raczej go odstraszyć. Udało się. Łoś zawrócił.

Jak zmieniły się Bagna Biebrzańskie przez czas Pana obecności tutaj?

Wszystko się zmieniło, ale nierówno. Każda rzecz troszeczkę inaczej. Ludzie się nie zmienili mentalnie. Zmienił się krajobraz wsi, ale my obserwowaliśmy to stopniowo. Dlatego nie mamy poczucia tego skoku i wydawać się nam może, że wszystko jest prawie tak samo, jak było. Jak powstał park narodowy to pewne miejsca zdziczały np. Brzeziny (bagienne olsy w południowej części Par-

ku – red.). Co roku przyjeżdżałem z nadzieją, by nie zobaczyć tam zrębu zupełnego. I niestety zobaczyłem ten zrąb w naszym ukochanym, dzikim miejscu. Jak lotnisko. Skarżyłem się wówczas śp. leśniczemu Wilczewskiemu. A on na to: *Panie. Zrąb zrobił. Ja w rok to takich pięć muszę, bo Grajewo potrzebuje na sklejkę.* Odkąd jest Park takiego niebezpieczeństwa nie ma. Las zatem zdziczał. Natomiast przez tych wiele lat otwarte bagna zaczęły zarastać. Był moment, że dzięki temu przyroda zaczęła się mocno różnicować. Powstawało więcej mini środowisk, co sprzyjało pojawianiu się większej ilości różnorodnych ptaków. Na Bagnie Ławki i w okolicy mieliśmy zaprzyjaźnione z nami przez lata ptasie pary: żurawie, rycyki, błotniaki stawowe, sowy błotne. Dwie pary rezydowały tam niezależnie od tego czy było to rok „mysi” czy nie. Jak przyszedł Park zaczęło się odkrzaczanie na dużą skalę, środowisko zaczęło się zmieniać. Niektóre gatunki rezygnowały z lęgów. A jak przyszły ratraki, to już nie chcę mówić. Aczkolwiek przyroda nie zniknęła. Coś będzie miało z tego też korzyść.



MIROSŁAW KOBESZKO

Uścianek

rok urodzenia 1949

Miłośnik biebrzańskiej przyrody, pasjonat podwodnego świata Biebrzy, prezes Biebrzańskiego Klubu Płetwonurków „Meander” w Goniądzu. Pomysłodawca i inicjator Podwodnego Sprzątania Biebrzy (1999), podwodnego szlaku biebrzańskiego.

Współtwórca Biebrzańskich Sianokosów.

Kiedy i dlaczego trafił Pan nad Biebrzę?

Wydaje mi się, że nad Biebrzą byłem od zawsze i choć urodziłem się i mieszkałem w Białymstoku, pierwsze moje wspomnienia zawsze dotyczą tej rzeki, spędzałem nad nią każdy wolny skrawek czasu, a nawet wykradałem czas dla Biebrzy. Pewnie dlatego, że pochodzę z wielopokoleniowej rodziny myśliwskiej. Mój dziadek był osacznikiem w ja-

kimś litewskim majątku, osiedlił się w Białymstoku, gdzie był naczelnikiem ówczesnej Parowozowni. Darmowy bilet kolejowy i niesamowity pociąg do lasu i wody sprawiły, że jego następnym domem był Osowiec, gdzie zresztą była i do dziś istnieje pompownia wody do parowozów. To on założył w roku 1946 Koło Łowieckie „Dzik” Białystok, w którym polowali prawie wszyscy mężczyźni z naszej rodzi-

ny i tak jest do dzisiaj. Od kiedy sięgam pamięcią wszystkie wakacje spędzałem nad Biebrzą. Rozbijaliśmy biwak na uroczysku Pale lub w dzisiejszej osadzie Bóbr. Pod koniec lat 50-tych mój ojciec Edward podjął pracę w Rezerwacie Czerwone Bagno jako „łosiowy strażnik”. Mieszkaliśmy we wsi Woźnawieś. Do najbliższej komunikacji w Tamie było 7 km, więc rzadko bywaliśmy w Białymstoku, co było początkiem „przeniesienia duszy” do mojej krainy szczęśliwości.

Co wówczas najbardziej Pana zafascynowało? Jakże były Pana pierwsze wrażenia?

„Przeniesienie duszy” jest zawsze początkiem jakiegoś naturalnego transferu ludzi i właśnie wrażenia, najczęściej z dzieciństwa najbardziej kładą na to swoje piętno. Jakbym napisał piękno, to też było by poprawnie, ale najlepiej użyję zwrotu: piękne piętno. Tam było wszystko! Jezioro Dreństwo, rybne i pełne raków. Rzeka Jęgrznia przezroczysta aż do dna i pełna życia, które godzinami obserwowałem z pobliskiego mostu. Las co tonął w chmu-

rach i spokój, brak pośpiechu i nerwowości. A przede wszystkim zwierzęta, które żyły z nami w domu, na naszym podwórku, w najbliższym otoczeniu. Wystarczyło wieczorem usiąść na ganku lub zbiec po trawie nad rzekę aby natykać się wrażeń na cały sen. No i nienachalna wiejska szkoła, gdzie się szło z przyjemności, a nie z obowiązku.

A pierwsze spotkanie z ludźmi znad Biebrzy?

Pierwszym „biebrzańcem” na mojej drodze był Władysław Lechoćciński, „bobrowy”, bo taką miał funkcję, nie z wykształcenia, a z umiłowania. Jego zadaniem było wszczepić w biebrzański ekosystem bobry przywiezione z Białorusi. Na temat rzeki mógł mówić bez przerwy i z sensem, opierając wnioski na wieloletnich doświadczeniach miejscowej ludności. Mieszkał w dzisiejszej osadzie Bóbr i tam też było centrum przyrodniczego życia biebrzańskiej doliny. Tam poznałem Włodzimierza Puchalskiego, któremu pomagałem robić „ukrycia” jak mawiał, on również pokazał mi jak podglądać przyrodę i jakie z tego można mieć



Fot. arch. M. Kobeszko

Straż łośiowa. Tajno Stare, 15 lipca 1959. Od lewej: Edward Kobeszko, Kazimierz Ostrowski, Alfred Laskowski oraz Lech Chwieroć i Mirosław Kobeszko.

korzyści, niekoniecznie materialne. Tam też często bywała ówczesna nomenklatura, toteż miałem okazję zobaczyć blichtr i zadęcie. Poznać gadające głowy, ale również ludzi mądrych i naprawdę przyrodzie oddanych. Dokładając do tego ojca „łosiowego”, nie miałem szans wychować się normalnie po miejsku.

Jak wyglądała przyroda wówczas, jak wygląda dziś? Co i jak się zmieniło?

Biebrza zawsze była perłą, ale wtedy nikt się nad tym nie zastanawiał. Rzeka jak rzeka, w naszym rejonie było ich więcej, że wymienię Narew, Supraśl czy Bug. Jednak tylko ona przetrwała w prawie niezmienionym stanie, co jest niewątpliwą zasługą ludzi tu mieszkających, dziś w rozważaniach nad jej przyszłością pominiętych. Nie da się teoretycznie zachować środowiska naturalnego, wykształcenie to trochę za mało na skuteczność w działaniu. Właśnie tutaj wyraźnie widać nieuzasadnioną presję „ekologów”. Biebrza była kiedyś obustronnie porośnięta „krzewiną” jak nazywali ją miejscowi. Dawało to schronienie wszelkie-

mu życiu nadwodnemu i wodnemu: ssakom, ptakom, rybom, nie wspominając o bezkręgowcach, które są mało widoczne, ale mają ogromny wpływ na środowisko. Podwodna płatanina korzeni wiklinowych umacniała brzeg i stanowiąc przeszkodę nurtowi, który musiał meandrować. A każde spowolnienie nurtu to czas i miejsce na naturalne osadzenie się sedymencji, wytracenia nieczystości. Nieprzewidziana i niekontrolowana ekspansja bobra spowodowała już prawie nieodwracalne szkody dla tej rzeki. Wycięte w pień nadwodne zarośla powodują wystawienie rzeki na otwarte działanie słońca. Znika podwodna płatanina korzeni. Powoli prostują się meandry i wypłyca się rzeka. Zmienia się naturalna ostoja zwierząt i roślin wodnych. W osadzie Bóbr niegdyś zarośniętej od starorzecza po zabudowania, zniknęły zupełnie zarośla, jak również drzewa. W otwartym terenie zanika osobowość rzeki, jej tajemniczość i naturalny urok krajobrazu. Doskonale pamiętam walkę myśliwych z przypłatanym tu jenotem, który w końcu jednak został spacyfikowany na

przyzwoitym poziomie. Ekspansja norki w początkowej fazie wyglądała potwornie. Wszystkie nadbrzeżne wędkarskie ścieżki pokryte były grubą czarną warstwą łap łysek i kurerek wodnych. Nieprzeliczone chmury dzikiego ptactwa pokrywały niebo po horyzont, bataliony liczone nie na sztuki czy nawet tysiące sztuk, a na hektary. Całe nadbrzeżne łąki pokryte były kolorowym dywanem drgających kwiatów. Ryby na tarliskach szły falangami, aż było słyszeć szum. Na wykoszonych łąkach woda gotowała się od ogromnych stad leszczy czy jazi, nikt tak naprawdę w to nie ingerował. Ryby były ogólnie dostępne, a dla niektórych stanowiły podstawę wyżywienia. Wszystko to zanikło z niewytłumaczalnej tak naprawdę przyczyny. Ekologiczne dywagacje niczego nie tłumaczą, są tylko przypuszczeniami.

Niezapomniana przygoda, przeżyłcie nad Biebrzą?

Każdy dzień nad Biebrzą to niezapomniana przygoda, nic się tu nie zdarza dwa razy, choć jej trwanie w stanie od lat niezmiennym biologicznie

jest zadziwiające. Pamiętam, miałem wtedy 10 lat. Zastała nas z dziadkiem, na łódce, gwałtowna letnia burza pod mostem drogowym na trasie Białystok – Ełk. Schroniliśmy się tam przed gwałtowną ulewą. W pewnym momencie wokół nas woda zaczęła falować, kołysząc niebezpiecznie łódką. Na powierzchni pokazały się olbrzymie cielska zwierząt, których nigdy nie widziałem, a nawet nie przypuszczałem, że takie istnieją. Nie było wtedy telewizji, a tym bardziej internetu. Wiadomości nabywało się czytając lub słuchając opowieści, z których te nadbiebrzańskie były najpiękniejsze. Byłem przerażony, łódka zapakowana do granic jej wyporności niebezpiecznie kołysała się i przy współudziale bombardującego deszczu powoli nabierała wody, której nie nadążałem puszką po konserwie wylewać. Cały spektakl trwał około 10 minut i ustał gwałtownie. Jeszcze nie doszedłem do siebie, kiedy dziadek to skomentował spokojnie: czego ty się wystraszył, to tylko sum „nerestuje”, choć i ja tak ogromnych sztuk tyle na raz jeszcze nigdy nie widział. Polubiła ciebie Pani Biebrza!



Sum w Biebrzy

Fot. J. Dutkiewicz (arch. BbPN)

*Jeszcze nie doszedłem do siebie, kiedy dziadek to
skomentował spokojnie: czego ty się wystraszył,
to tylko sum „nerestuje” (...)*



Czy można pogodzić obecny szybki rozwój cywilizacyjny z potrzebami ochrony przyrody i zachowania dziedzictwa kulturowego nad Biebrzą?

Oczywiście że można, nawet trzeba. Uważam, to właśnie za podstawowe zadanie Biebrzańskiego Parku Narodowego, który ustanowiono w roku 1993, z inicjatywy właśnie „biebrzniętych”, choć wtedy tego określenia jeszcze nie znano. Zachowanie dziedzictwa kulturowego to przede wszystkim jego właściwe określenie. Nie wolno dzielić tradycji na części i te, co nam odpowiadają, chronić, a te z dzisiejszego punktu widzenia niepotrzebne i pozornie wadliwe napiętnować.

Czy warto być „biebrzniętym” i co to dla Pana oznacza?

Biebrznięty jestem na pewno, wiem to i czuję. Przyłgnęło do mnie również określenie Meandertalczyk. Wychodzi dość dziwnie: Biebrznięty Meandertalczyk. Nie interesuje mnie, co kto o mnie myśli i jak mnie nazywa. Ja tutaj znalazłem swoje miejsce na ziemi, a nawet pod wodą, z którą jestem już chyba nierozłączny. 3000 godzin spędzone w nurcie meandrów Biebrzy pewnie każdego by zmieniło. Mnie po prostu zrobiło wodę z mózgu i niech tak zostanie, a nurt „wielkiego świata” niech sobie przepływa obok.



DAREK KARP

Tajenko

rok urodzenia 1964

Miłośnik i fotograf przyrody, pasjonat kultury indian północnoamerykańskich. Autor m.in. publikacji o przyrodzie doliny Biebrzy. Od ponad 30 lat fotografuje biebrzańską przyrodę.

Tam, gdzie mieszkają diabły

Był pamiętny grudzień 1981 roku, gdy pierwszy raz trafiłem w gościnne progi wsi na biebrzańskich bagnach. Mała wioska zagubiona pośrodku łąk, wyglądała jakby czas w niej się zatrzymał. W całym kraju ogłoszony stan wojenny, godziny policyjne, patrole zomo i milicji. A tu normalne życie. Stare drewniane chałupki, większość jeszcze ze strzechami, wtapiały się w piękno biebrzańskiego krajobrazu. Na łąkach obsypanych śniegiem widniały liczne

stogi z sianem, tak bardzo podkreślające charakter tej pięknej krainy.

Poczułem się wyjątkowo wolny...

Odetchnąłem czystym, mroźnym powietrzem i gdy już miałem wyruszać w tą dziką przestrzeń, aby zacząć odkrywać jej małe i duże tajemnice, w tej samej chwili usłyszałem za plecami głos: *Ej ty, człowieku! Ty chyba jesteś jakiś dziki albo co? Gdzie ty z tym kijem chcesz iść?* Odwracam się, a za mną stoi starszy, sympatyczny gospodarz. *Tam dalej to już koniec świata, same krzako-*



Żuraw

Fot. D. Karp

cie, bagna i las, a w nim to i wilki głodne – ostrzegł przyjaźnie. Wilki? To super! Ja właśnie za tymi wilkami. A powie mi pan, łosi jest dużo? Łosi, to pewnie jest więcej jak krowów we wsi. Nie raz widać jak przelatują między stogami. A inne zwierzęta? – pytam. Panie kochany, tam są różne cudaki i rozmaitości świata...

Było bardzo mroźnie, gospodarz zaprosił do domu, aby się ogrzać. Klimat w starej drewnianej chałupie był nie do opisania. Jakby z innej epoki. Duża kuchenna izba z piecem kaflowym i zapieckiem. Przy ścianie stał stary kredens, a obok szlaban, pełniący rolę ławki i łóżka. Nieoheblowana podłoga z szerokich desek miała liczne ślady życia tego domu. W centralnym miejscu izby znajdował się ołtarzyk. Grube sufitowe belki, częściowo „rzeźbione” przez korniki, pobielone były wapnem. Pomiedzy nimi zwiisała mała żarówka, na której zgromadziło się mnóstwo pajęczyn. W rogu przy piecu stało wiadro z wodą, blaszany kubek i stara miska do kąpie- ... Na zapiecku siedziała, kotłyszac się, staruteńka matka gospodarza, a na szlabanie, zaciekawieni gościem, dwaj chłopcy.

Zdjąłem kożuch, pod którym na piersi wisiał aparat fotograficzny. Wzbudził on zainteresowanie. *A ja myślałem, że ty może jakiś dziki, bezdomny człowiek. Wędrujesz w starym kożuchu i z takim kijem, a tu masz: ty uczony i kamerujesz. Uczę się dopiero tego kamerowania, odpowiedziałem grzecznie. A najbardziej to interesują mnie zdjęcia dzikich zwierząt. A ptaki? – zapytał. Oczywiście też. To musisz koniecznie przyjechać tu na wiosnę. Jest dużo bocianów, żurawiów, czajków, a na lesie to siedzi nawet orł – mówi z dumą gospodarz. Nie wiem czy to prawdziwy orł, czy tylko podorlak, a może to jakiś tam inny duży siul. Ale gniazdo to ma wielkie, takie jak bocian. I jak tylko bagno lepiej zamrażnie, zaprzegnę kobyłkę i pojedę saniami po drzewo, to zrobię porządek z tym gniazdem. Może się wreszcie wyniesie i na wiosnę nie będzie brał kur. Ja bym się chętnie tam z Panem wybrał – odpowiedziałem. Oglądnę to gniazdo, tego podorlaka, a i pomogę przy drzewie. To jak, umowa stoi? – zapytałem. Gospodarz zgodził się. Podaliśmy sobie ręce. Pójdę już, bo zimą szybko się ściemnia. Może zobaczę jeszcze jakiegoś łosia. Żegnalem się z gościnnymi mieszkańcami chaty, gdy w ostatniej chwili przed*

wyjściem z domu, stara babuleńka odezwała się do mnie prosto z zapiećka: *Ty nie idź w te kusty, bo tam w nich daleko siedzi diabeł i może cię już nie wypuścić... A jak już tam poleziesz i ci się uda wrócić, to przyniesz nam dzika.* Zaskoczony zapytałem: *Jak to, dzika?* Babka odpowiedziała całkiem

poważnie: *Nie wiesz jak? Normalnie, w worku!*

Te słowa utkwiły mi w pamięci. Zawsze jak idę w te strony ciepło wspominam tych prostych, dobrych ludzi i nigdy nie lekceważę mieszkającego w kniei diabła i innych prawowitych mieszkańców bagien...

W poszukiwaniu orlich gniazd

Zima była w pełni. Piękna klacz, nazywana przez gospodarza Siwa, żwawo ciągnęła prostej konstrukcji sanie. Rolek, tak miał na imię właściciel, z wielką znajomością terenu prowadził dereszkę w znanym sobie kierunku. Mijaliśmy stogi, które wyrastały z rozległych, dzikich łąk. Krajobraz był przeuroczy. Koń z radością pochrapywał, wyrzucając spod kopyt biały puszysty śnieg, a mój przewodnik opowiadał jak było tu w partyzantce, w czasie wojny i zaraz po niej. I tak przy miłej rozmowie, dotarliśmy do lasu. Brzeziny wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Brzoza przy brzozie, jak biała armia strażników lasu. Po kilku minutach las zaczął zmieniać swój charakter. Brzeziny ustąpiły miejsca olchom, z dużą domieszką sosny. Na granicy la-

sów Rolek z pewnością siebie zatrzymał sanie, aby zmienić kierunek jazdy. Po następnych dwustu metrach wyciągnął rękę i palcem pokazuje mi wielkie gniazdo na sośnie. Zadowolony z siebie, wesoło uśmiecha się i mówi: *I co? A nie mówiłem? Jest gniazdo? Mieszka u nas orzeł albo podorlak, czy nie?*

Byłem pod wielkim wrażeniem. Gniazdo było bardzo duże. Średnica około półtora metra, a wysokość dochodziła do dwóch. Faktycznie, konstrukcja wyglądała na gniazdo orle. Z radością podziękowałem Rolkowi odpowiadając: *Masz rację to może być tylko orzeł lub podorlak* - przytaknąłem dumnemu gospodarzowi, nie poprawiając tutejszej gwary.

To co tniemy? - podstępnie zapytał mnie, wyciągając jednocześnie długą,



Podorlak czyli orlik grubodzioby - ptak młodociany

Fot. D. Karp

zębata piłę. *No co ty Roluś* – odparłem błagalnym głosem. *To może być bardzo rzadki ptak. Na wiosnę chcę go zobaczyć i jak się uda, to zrobić zdjęcie. Pomyśl, kontynuowałem, jakbyś się poczuł, gdyby zniszczono ci dom?* Porozmawialiśmy niemało. Po długiej chwili namysłu, gospodarz odpowiedział smutnym głosem: *Masz rację. Ja przeżyłem, jak Niemcy w wojnę spalili nasze zabudowania... Masz rację...*

I tak piękne stanowisko lęgowe ocalało. Tym razem i ja byłem z siebie dumny...

Wróciliśmy do wsi z saniami pełnymi drewna. Obaj zadowoleni z wyprawy do lasu.

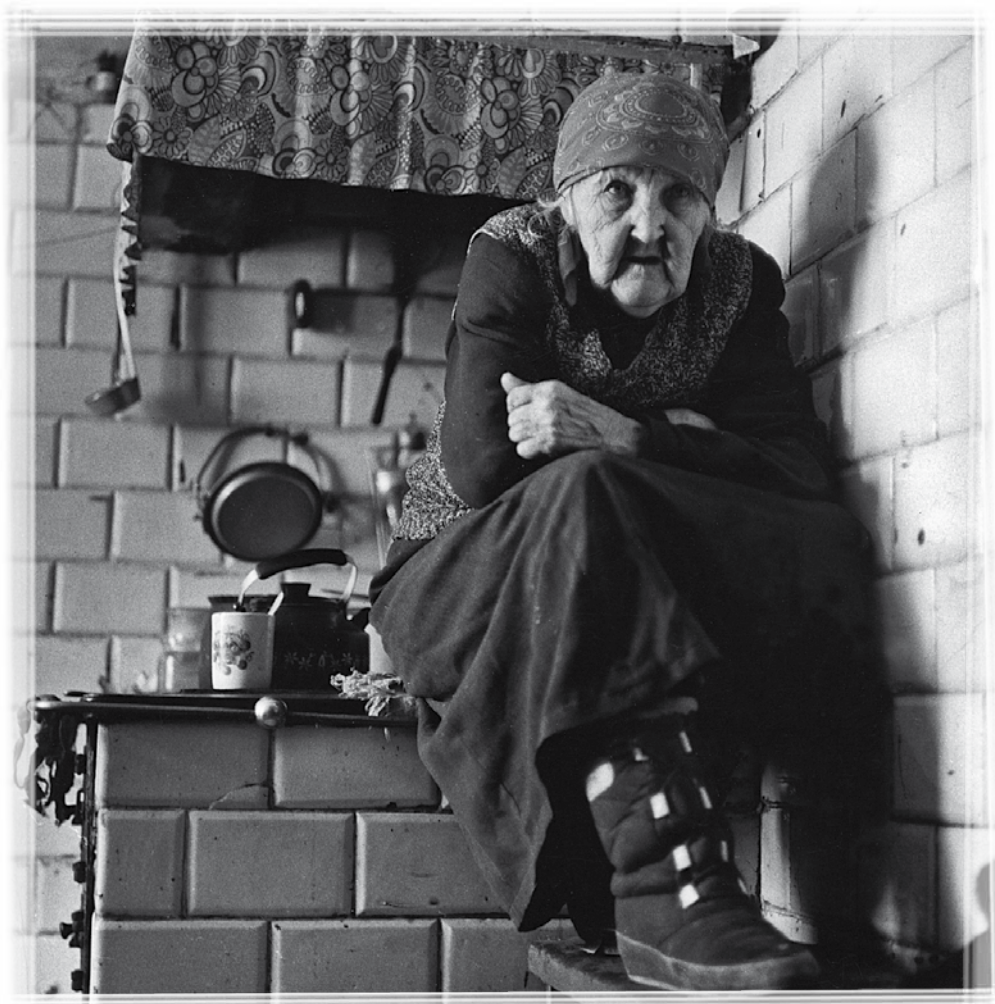
Kiedy dotarłem już do domu w Augustowie, ciągle myślałem o gnieździe. Nawet nocą przyśniły mi się różne ptaki, które miały chęć je zasiedlić. Byłem też zauroczony tym niezwykłym, rozległym i dzikim terenem. Ile tajemnic kryje w sobie ten las, to bagno? Postanowiłem, że w miarę swoich możliwości poznam chociaż niektóre z nich, choć część tej zaczerpniętej krainy.

W połowie stycznia, ponownie odwiedziłem znajomą rodzinę u wrót Czerwonego Bagna. Tym razem zostałem

na dłużej. Rolek z synami i starą matką chętnie przyjęli mnie pod swoją strzechę. Możliwość obcowania z nimi też była wielką przygodą. Uczestniczenie w ich codziennym życiu, słuchanie niesamowitych opowieści o łosiach, wilkach, bobrach, o wojnie, a nawet o Duchu Biebrzy... Każdego dnia wychodziłem poznawać ten nieznaną świat. Zawsze z wielkim szacunkiem dla przyrody oraz dzikich mieszkańców lasu i Ducha, tego z Czerwonego Bagna. To wszystko zaowocowało ciekawymi znaleziskami. Po tygodniu odnalazłem 9 dużych, ładnych gniazd i wiele wyjątkowych miejsc.

W maju mogłem już się przekonać, jak cenne były to odkrycia: czarne bociany, bielik, orzeł przedni (na pocz. lat 80. ten ptak był jeszcze gatunkiem lęgowym w środkowym basenie Biebrzy), a także gołębiarz, orlik krzykliwy i orlik grubodzioby, nazywany przez miejscowych podorłakiem. Prawdziwe bowiem orły według ich rozumowania żyją tylko w górach...

Przez kolejne lata wypraw wilki i łosie towarzyszyły mi nieraz podczas wędrówki, a Duch z Czerwonego Bagna, zawsze otaczał swoją opieką...

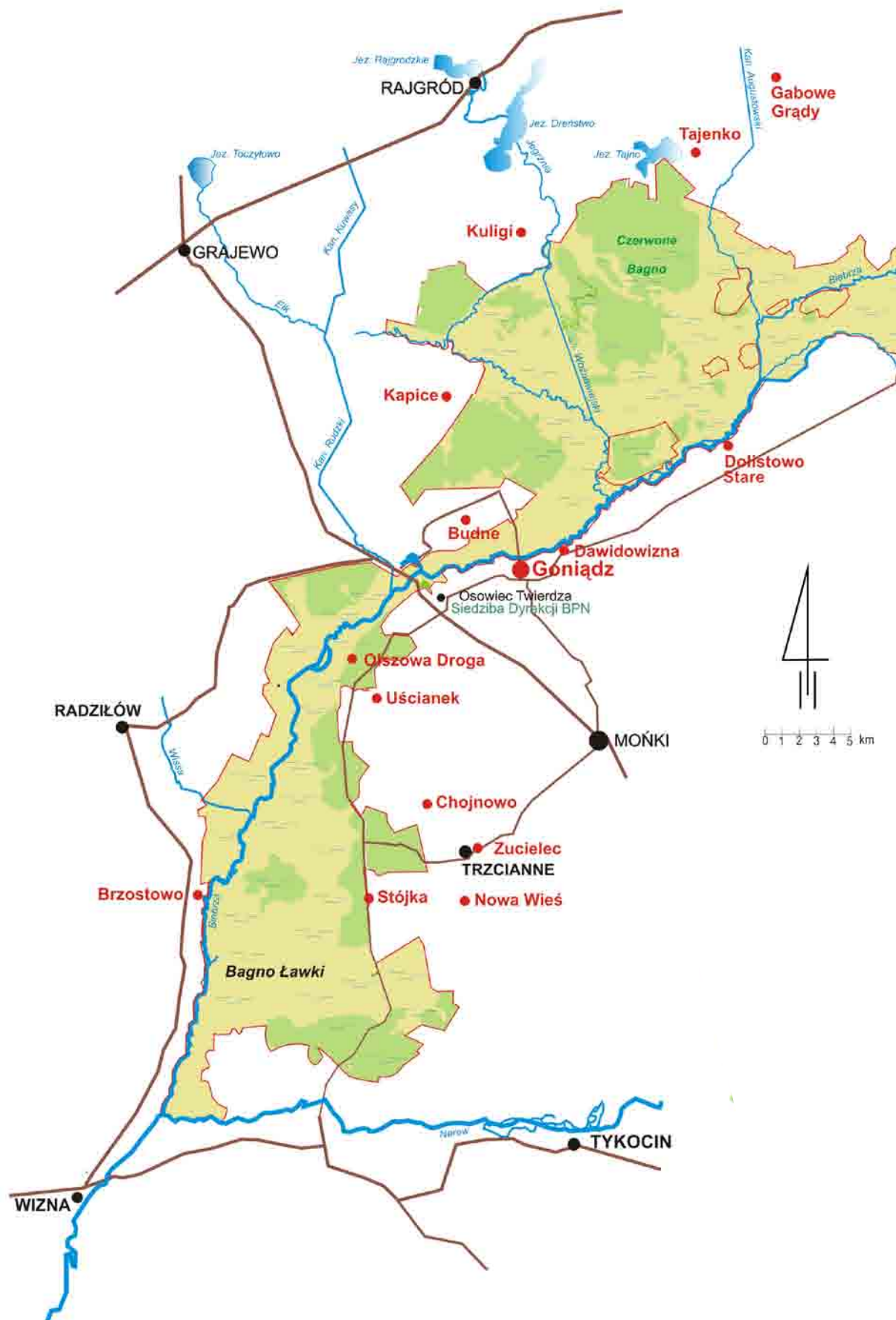


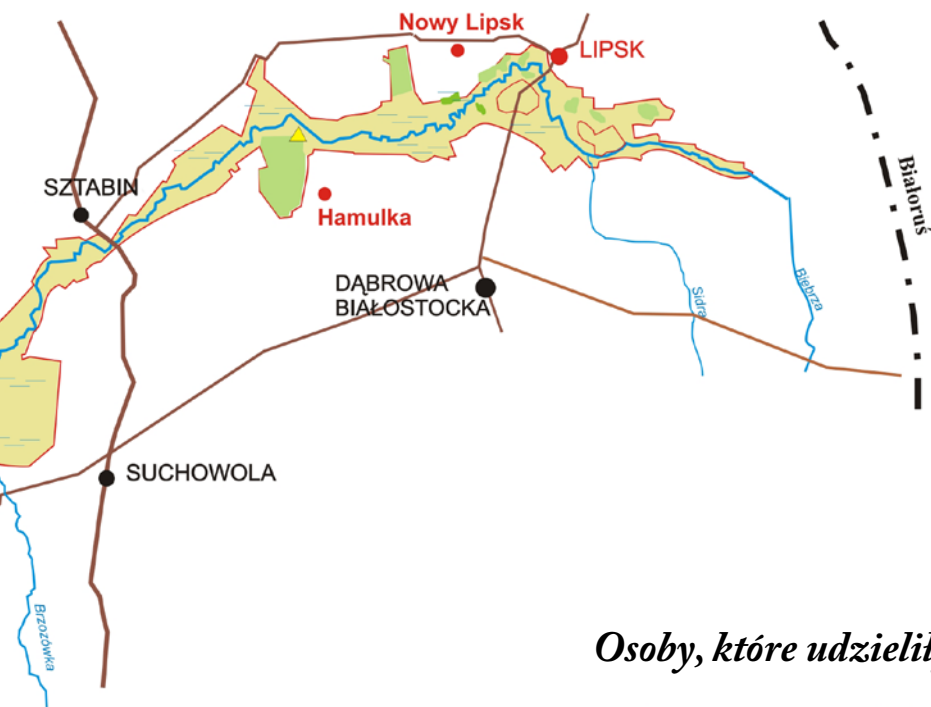
Gospodyni z opowiadania

Fot. Darek Karp (1981)

*Na zapiecku siedziała, kotysząc się,
staruteńka matka gospodarza (...)*







Osoby, które udzieliły wywiadu:

Lipsk:

Krystyna Cieśluk

Nowy Lipsk:

Stefania Żurawska

Hamulka:

Jan Kułak

Gabowe Grądy:

Marta Ancipow

Kuligi:

Mateusz Polkowski

Kapice:

Władysława Pachucka

Dolistowo Stare:

Małgorzata Kolendo

Zenon Kolendo

Budne:

Zygmunt Skubich

Dawidowizna:

Jan Pożarowski

Tajenko:

Darek Karp

Goniądz:

Stanisława Józwicka

Stanisława Kowalczuk

Jadwiga Popowska

Antoni Rutkowski

Henryk Sosnowski

Joanna Danuta Sosnowska

Ryszard Czajkowski

Antoni Wysocki

Olszowa Droga

Leopold Nieciecki

Uścianek

Mirosław Kobeszko

Chojnowo

Stanisław Szeszko

Zucielec:

Eugeniusz Pezowicz

Nowa Wieś

Tomasz Kłosowski

Stójka:

Jadwiga Zienkiewicz

Brzostowo:

Witold Konopka

O autorach filmu

Integralną częścią publikacji jest film pt. „Biebrzańskie Żywoty czyli biebrzańskie wspomnienia o tym, jak dawniej nad Biebrzą życie wyglądało” (w załączeniu), który powstał we współpracy niżej wymienionych osób:

Beata Golak – od czternastu lat współpracownik białostockiego ośrodka Telewizji Polskiej. Reporterka, prezenterka, autorka programów cyklicznych - np. poświęconego ludziom z pasją pt. „Konik”, czy też tematyce poświęconej ochronie środowiska pt „Ekopodlasie”, a także cyklu „Ptak też człowiek”. Na co dzień związana z redakcją programu informacyjnego „Obiektyw”, w której zajmuje się tematyką ekologiczną. Stąd też jej częsta obecność nad Biebrzą.



Paweł Hołubowicz – z Telewizją Polską związany od 2004 roku. Autor wielu programów i reportaży emitowanych na antenach TVP Białystok, TVP INFO, TVP1 i TVP2. Producent i wydawca cyklicznego programu społeczno-informacyjnego „Przegląd Suwalsko-Mazurski”.



Jacek Jacek Wiśniewski - producent filmowy i telewizyjny. Operator kamery, montażysta, fotograf. Członek Stowarzyszenia Filmowego „SFORA”.



Artur Wiatr – przyrodnik, pracownik Biebrzańskiego PN od 1997 r. Zajmuje się m.in. współpracą ze społecznością lokalną i mediami oraz realizacją projektów ochrony przyrody. Współautor przewodnika kieszonkowego pt. „Biebrzański PN”. Redaguje „Biebrzańskie Wieści” – gazetę informacyjną BbPN.





Fot. Archiwum GOK Goniądz

Studnia na Starym Rynku, istniejąca do dziś.
Zdjęcie pochodzi z lat 30.



Fot. Archiwum GOK Goniądz

Majówka na Biebrzy w latach dwudziestych.
Na drugim planie goniądzki browar, na trzecim - synagoga.



Fot. Archiwum GOK Goniądz

Okolice ulicy Nadbiebrzańskiej. Przed wojną mieszkali
tu goniądźanie polskiej narodowości.



Fot. Archiwum GOK Goniądz

Wnętrze zniszczonego kościoła. Solidna konstrukcja
balkonu chóralnego udźwignęła ciężar gruzów zwalonej wieży.
Ocalał widoczny piękny mosiężny żyrandol.



Fot. Archiwum GOK Goniądz

Goniądzcy Żydzi z lat trzydziestych.



Przed pracą

Fot. J. Rybiński

„Dziewczyny razem z nami do siana grabić jechały. To było życie.”

Eugeniusz Pezowicz



Wieś Jagłowo (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

„Dzisiaj pampersy się założy, a dawniej cały płot pieluchami był zawieszony.”

Antoni Rutkowski



Moczenie lnu

Fot. J. Rybiński

„Po młócce len zbierało się w takie pęczki i w rzecę moczyło.”

Witold Konopka



Suszenie torfu (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

„Torf trzeba było wydobywać, suszyć, przekładać.”

Stanisława Jóźwicka



O poranku

Fot. W. Wołkow

„Dawniej za rzeką pasło się 60 koni.”

Witold Konopka



Po pracy (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

„Rybaczenie trwało od początku maja do końca grudnia.”

Ryszard Czajkowski



Scena z życia Jagłowa (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

*„Pranie robiło się w baliach i tarami.
Do rzeki żeśmy chodzili tylko płukać.”*

Stanisława Józwicka



Rozlewiska Biebrzy (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

„Woda hen wylała. Do domu łódką trzeba było pływać.”

Zygmunt Skubich



Widok z Góry Strękowej (1955)

Fot. W. Puchalski

„Żeby ten dawny świat się wrócił, to byłoby ślicznie. To był uroczy świat.”

Stefania Żurawska



Biebrzański Jezus (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

„Odkąd kapliczkę postawiliśmy wszystko się zmieniło.”

Władysława Pachucka



Stawianie żaków

Fot. W. Wołkow

„Kiedys byli rybacy i o rzekę bardziej dbali.”

Witold Konopka



Droga Wólka Piaseczna – Goniądz (ok. 1975)

Fot. E. Deptuła

„Do szkoły chodziliśmy z Wólki do Goniądza.”

Joanna Sosnowska



Udane polowanie – Olszowa Droga (1980)

Fot. W. Plewiński

„Ja byłem myśliwym ponad dwadzieścia lat.”

Zenon Kolendo



Stogi

Fot. W. Wołkow

*„A stogów z sianem ile w dolinie stało.
Bardzo dużo, jak grzybów po deszczu.”*

Zenon Kolendo



Okadzanie niewodu (1965-1970)

Fot. K. Chojnacki

„Sieci były różnych rozmiarów. Każda sieć miała ok. 30 m długości.”

Ryszard Czajkowski



Okolice Jagłowa wiosną (1981)

Fot. D. Karp

„Rzeka wylewała tak jak zwykle i teraz wylewa.”

Witold Konopka



Biebrzańska chata (1981)

Fot. D. Karp

„Wieś była bardzo biedna. Domy były drewniane.”

Stanisława Józwicka



Orka (1981)

Fot. D. Karp

*„Dawniej dobrym koniem w parze to nawet hektar pola człowiek
zaorał dziennie, ale zajmowało to dużo czasu.”*

Antoni Wysocki



Pychówką po siano (1981)

Fot. D. Karp

„Pychówki każdy miał, bo był stolarz, który robił.”

Witold Konopka

Zachwycając się biebrzańską przyrodą, gdzieś w tle, trzeba pamiętać, że jej różnorodność po części zawdzięczamy tradycyjnej działalności człowieka.

Siankosy, wypas bydła i koni na bagiennych łąkach i wiele innych tradycyjnych czynności dziś bardzo szybko odchodzi w niepamięć. Tym bardziej o dziedzictwo kulturowe doliny Biebrzy należy się troszczyć. Mam nadzieję, że niniejsza publikacja i film jest małym krokiem w tym kierunku oraz skromnym upominkiem dla społeczności lokalnej z okazji XX - lecia Parku. Życzę miłych wrażeń.

Roman Skąpski

Dyrektor Biebrzańskiego Parku Narodowego



1993 – 2013

XX lat Biebrzańskiego Parku Narodowego

Biebrzański Park Narodowy

Osowiec Twierdza 8, 19-110 Goniądz

tel. 85 738 06 20, 85 738 30 00; fax: 85 738 30 21

www.biebrza.org.pl